Rok 4. Kraków, dnia 5 i 20 Maja 1885 r. Nr. 9 i 10

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 złr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 7·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu 1-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagielończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuzkiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674—1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Swidziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. —·60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 złr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 złr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 zlr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoflmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłomaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski-więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszalek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnieniedo Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25

Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—

Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80

Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50

Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zl. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50

Niemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25

Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina . Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50

Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50

Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75

Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60

Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882—·60
— toż samo w oprawie —.60

Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)

Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rynami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50

Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—

Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882 —·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—

Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20

Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30

Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50

Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższyh szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80

Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15

Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—

Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20

Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Jan Blaschke.

W drukarni A. Koziańskiego.

Rok IV. Kraków, dnia 5 i 20 Maja 1885 r. Nr. 9. i 10.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs., półrocz. 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Marszałkowska 73).*
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

FRANEK ŻOŁNIERZAK

KARTKA Z ŻYCIA CODZIENNEGO.

Przez

Ant. Józ. Sęka.

(Dokończenie).

III.

NA SŁUŻBIE.

Ale co by się mu stać mogło w takiej służbie; toż to szczęście, o jakiem marzyć nawet we śnie nie można. Przez cały dzień prawie nic niema do roboty. Miał wprawdzie panicz zacząć uczyć Franka czytać, ale jakoś zeszło. Panicz wyjechał do miasta, do szkół; skończyły się piękne dnie wolności, krępowanej jedynie lekcyami nauczyciela, Franek został na wsi, sposobiąc się ustawicznie do czegoś, czem miał zostać, aby wypełnić owo polecenie pańskie:

— Wyjdź na ludzi.

Więc do tego i owego go używają, tu i ówdzie go posyłają. Tę robotę zacznie, do innej go biorą; nie dlatego, żeby był niezdatny, ale wprost, że się przyzwyczajono uważać go za sprzęt, za jakąś istotę «do szczególnych poruczeń»; o, bo Franek ma już lat 17, jest sprytny i obrotny. Pan go lubi. Pani daje mu rozmaite polecenia; nawet panienka, gdy Franek jedzie do miasta, sprawunki mu kupić każe; tylko jemu, bo nikt tak dobrze, jak on, nie potrafi tego zrobić.

Franek tu! Franek tam! rośnie w znaczenie u państwa, wzbudza zazdrość między chłopakami z folwarku. Jedna matka tylko, obierając kartofle, coś częściej pokaszluje i czasem łzę uroni, bo choć to u niej gość rzadki, jednak zawita czasem, zwłaszcza, gdy Franek wbiegnie do izby i zamiast spokojnie pogadać, głośno woła o jedzenie.

— Franku, — mówiła matka, — poczekaj, zaraz będzie.

— Oho, nie mam czasu, jadę do miasta, co mi tam kasza, zjem sobie co w mieście.

— Franku, — przekładała mu matka, — poczekaj.

Próżne perswazye. Magdalena martwi się.

— Myślałam, — narzekała, — że zostanie rzemieślnikiem, szewcem, że mi choć parę ciżemek uszyje; a tak nic, biega i biega, jak pies z wywieszonym ozorem, ani jemu, ani mnie żaden z tego pożytek, zmarnuje mi się chłopiec.

Oj te macierzyńskie przeczucia!

Franek matce przekładał, że to zajęcia przejściowe, że jak tylko panicz wróci, zacznie się inne życie, pełne wrażeń i powodzeń. Jakoż w istocie panicz powrócił i niedługo w domu miejsca zagrzawszy, pojechał znowu, Żołnierzak mu towarzyszył.

— Franusiu mój, to ty pojedziesz? — lamentowała Magdalena.

— Przywiozę matce korali z miasta.

— No, no, przyjedź ino sam cały i zdrów, bez korali się obejdę.

Pojechał. Indyka już nie było, byłby się na Franka gniewał....

Ciężej się wlokło życie Magdalenie bez syna, niż synowi bez matki. Starość nie radość, a choć czterdzieści kilka lat, to nie wiek, jednak przeżyć je w brudnej i dusznej izbie, przy pokarmie niepożywnym, wśród tysiąca warunków, z których każdy jest dla zdrowia zabójczy, to znaczy narazić się na skrócenie życia.

To też Magdalena pochyliła się znacznie, posmutniała; twarz jej, żółta oddawna, pomarszczyła się bardziej jeszcze, ręce wychudły, oddech stał się cięższy, wyjazd dziecka i ciągły niepokój o jego los martwiły i podgryzały niezbyt silne korzonki drzewa jej życia.

Franek był w położeniu zupełnie innem, o matkę się nie troszczył, miał bowiem przekonanie, że pobyt i ciężka praca w kuchni dziubińskiej aż nadto zaspokajają jej niewielkie potrzeby. O siebie był także spokojnym. Czegóż się miał lękać, dziedzic kazał mu przecież «wyjść na ludzi»; pewnie dlatego tylko oddał go do wyłącznych usług panicza. No, a panicz, to przecież ten sam p. Karol, który w marzeniach Franka pierwsze zajmował miejsce. Panicz musi być dobry i Franka pewnie lubi. Nie miałby powodu nienawidzieć, a obojętnym być nie może, bo Franek jest dla niego służącym wyjątkowo wiernym i wypełnia pilnie każde polecenie, zgaduje każdą myśl pańską. Jeżeli Franek dał Burkowi kawałek chleba, lub kozie kilka liści kapuścianych, to Burek lizał jego rękę, a koza radośnie beczała. Dlaczegóż by więc panicz, taki dobry panicz, miał być niewdzięczniejszym od Burka i kozy?...

A więc Magdalena nie miała powodu i racyi martwić się o przyszłość syna; jeżeli raz już spełniły się Frankowe marzenia, jeżeli skrzydła pańskiej łaski wzięły go pod opiekę, to los miał zapewniony i niewątpliwą staranność. Najlepszym dowodem, jak się nim dwór opiekuje, jest choćby i to, że go wysyłają z paniczem na wojaż, do miasta. Co tam nauka w Dziubinie. Na szerokim świecie, to zupełnie co innego. Zobaczy się wiele, ludziom zbliska przyjrzy, a na zabawy i uciechy, to czasu zbraknie.

Pociąg wiózł ich szybko ku miastu, gdzie Karol obiecywał sobie w gronie dobrych znajomych przepędzić czas jakiś dla... skończenia edukacyi.....

Franka zajmowało wszystko, co po drodze spotykał nowego, zajmowała go zarowno maszyna, «co tyle wagonów ciągnęła,» jak ruch i gwar miasta, świateł płonących tysiące, ilość ludzi, po ulicach się snujących; ale po nad temi wszystkiemi wrażeniami jedna myśl górowała: jak on się znajdzie w Warszawie?

Czy on będzie umiał należycie usłużyć swojemu panu?...

Pan Karol ze swej strony nie był ani psychologiem, ani nawet fizyognomistą, nie przypuszczał nawet, że Franek tak gorąco pragnie wywdzięczyć mu się za doznaną łaskę. No, bo któżby śmiał wątpić, że to była łaska. W Dziubinie, Franek, w najlepszych warunkach, przy wielkiej pilności i szczęśliwych okolicznościach, co najwyżej zostałby fornalem. Do śmierci musiałby bronować pole, czasem orać, częściej nawóz wozić, a najczęściej biédować, zwłaszcza jeżeliby się ożenił. Będąc zaś lokajem panicza, miał wszystkie widoki dojścia do zamożności i możliwego, w zakresie swoich pragnień, szczęścia. Karol był dumnym ze swego postępku, przecież nikt, tylko on zaopiekował się biednym Żołnierzakiem i ojcu go polecił. Przychodziło mu tylko chwilami na myśl, że wziął na głowę kłopot. Pocieszał się jednak niebawem, że najsumienniej wypełnia wszystko, co może zrobić chłopcu radość. Wszak sprawił mu eleganckie ubranie, kazał go ostrzydz, codziennie dawał mu moralne nauki, jak powinien się zachowywać człowiek, który okrom tytułu lokaja, dźwiga na sobie kurtkę granatową z guzikami herbowemi i, który w każdej porze dnia i nocy powinien dziękować Bogu i świętym na niebie, a paniczowi na ziemi za wywyższenie go z pośród grona takich zamorusanych biedaków, jak Józiek od źrebaków, lub Kuba od cieląt. Franek słuchał tych wszystkich rad, w duszy się ciesząc przekonaniem, że właśnie żywi te wszystkie uczucia, jakie według pana Karola w sercu jego mieścić się powinny i tak, jak Karol był dumnym z roli opiekuna i protektora tak Franka w ambicyą wbijała jego wdzięczność.

To tylko bieda, od pewnego czasu, Żołnierzak zaczął upatrywać na swojem słońcu maleńkie plamy. Dawniej, pan Karol uczył Franka, jak ma postępować, żeby się wdzięcznym okazać, ale od pewnego czasu, te niewinne upomnienia przybierają coraz ostrzejsze formy. Dobroczyńca, zapominając o swym względem Franka, stosunku, ostro karci każdą niezręczność swego lokaja, zapominając, że Żołnierzak jeżeli nie zrobił czego, jak być powinno, to z pewnością nie ze złej woli, ale wprost dlatego, że nie umie. Gdzież się miał nauczyć zręczności? Pociesza się Franek nadzieją, że później będzie lepiej, że tylko początek jest trudny i byleby pan go w służbie zatrzymał, to zpewnością poprawi się.

IV.

„ŁASKA PAŃSKA NA PSTRYM KONIU JEŹDZI."

A co, Franek miał zupełną słuszność. Przeczucia nie zawiodły go. Panicz powrócił go do łask swoich i obchodził się znacznie łagodniej. Pewnie z tego powodu, że od dłuższego czasu jest w wybornym humorze. W gronie swych przyjaciół, Karol stał się powodem zazdrości, to go niepomiernie cieszy. Zazdroszczą mu wszyscy powodzenia, jakie zyskał u jednej z bogiń modnego świata. Karol jednak nie dowierza sobie, a właściwie Paulinie, której zmienność była mu znaną. Podejrzywał ją i swego przyjaciela Stanisława. Koniecznie chciałby wiedzieć, czy podejrzenia jego są słuszne, czy też nie.

— Franek!

— Słucham pana.

— Pójdziesz na ulicę Chmielną i dowiesz się od służącej panny Pauliny, kto był u niej wczoraj wieczorem. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— No, to powtórz.

— Pójdę na Chmielną, wywołam Helenę i zapytam się: kto u was był wczoraj?

— No, to nic się nie dowiesz.

— Rozumiem.

— Pójdziesz na Chmielną, dasz Helenie rubla i będziesz mówił o rożnych rzeczach, aż dopiero później zapytasz się kto był wczoraj wieczorem.

— Rozumiem.

— Ale Helena nie będzie ci chciała powiedzieć, więc musisz ją namówić; no, pamiętaj, żebyś zrobił dobrze i to dziś jeszcze, koniecznie.

— Rozumiem.

I poszedł, nie przypuszczając, że daleko łatwiej jest zrobić jakiś projekt, niż go wykonać, zwłaszcza, jeźli się ma do czynienia z tak dowcipną i przywiązaną sługą, jak Helena.

Ujrzawszy w kuchni Franka, Helena domyśliła się, że lokaj przysłany jest z jakiemś poleceniem.

— A cóż to pan Franciszek ma za interes? — zapytała.

— A no, tak sobie, zaszedłem zobaczyć, co panna Helena porabia.

— A przyniósł pan Franciszek tę chustkę, co to obiecał?

— Bodajże cię, zapomniałem. Ale ja ją przyniosę.

— Eh, kiedy to tam będzie. My pewnie z panią pojedziemy niedługo.

— A dokąd?

— Albo to pan Karol dawał pieniądze, żebym ja panu Franciszkowi mowiła, gdzie moja pani jedzie.

— A gdzie?

— Oho! wcale nie. Moja pani ma krewnego, brata, nawet teraz ciągle u nas bywa; on dał pieniędzy. Franek się zamyślił, do szczęścia potrzeba mu było wiedzieć nazwisko tego «brata».

— Jak się ten brat nazywa? — zagadnął.

— Czy to ja się pytam, jak pańskiemu dziadkowi było na imię? Co pan taki ciekawy dzisiaj.

— Et! wcale nie, — tłumaczył się Franek, — nawet kiedy panna Helena się gniewa, to ja pójdę.

Helena lubiła Franka.

— Et, siedź pan Franciszek.

— Jabym się jeszcze zapytał o coś, ale się panny Heleny boję.

— No, naprzykład?

— Ja niby chciałem się dowiedzieć, czy pani jest w domu?

— A jak niema, to co?

— To ja myślę, że możebyśmy poszli do stróża. Jego córka przyniosłaby nam piwa i szynki, ja dam pieniędzy, tobyśmy zakąsili.

— Ah, dobrze.

Poszli. Franek liczył, że przy trunku rozwiąże się język Helenie, Helena ze swej strony chciała się dowiedzieć, w jakim celu Franek jest przysłany. Wiedziała, że za taką wiadomość pani podaną, nagroda ją nie minie. Po wychylonych butelkach piwa, zjawiła się wódka. Franek był przekonany, że jego sposób dowiadywania się tajemnic podoba się panu. A on koniecznie chciał się panu przysłużyć. Humory biesiadników rozweseliły się. Franek, chychocząc, trącił Helenę w bok palcem.

— Hi, hi, panno Heleno.

— Tylko bardzo proszę, zdaleka.

— Panna Helena to mi się siarczyście udała.

— Ja się tam obejdę bez takiego gadania.

— Ale ja się nie obejdę bez panny Heleny.

Chwycił ją wpół. Helena, trunkiem rozgrzana, nie usuwała się.

— Pan Franciszek myśli, że ja to nie wiem, po co go tu przysłali?

Franek chciał się przypodobać Helenie.

— Oj, ja wiem, że panna Helena to słyszy, jak trawa rośnie. Cóż dziwnego, że panna Helena domyśliła się, po co mnie tu przysłali.

To nie wyjaśniało kwestyi. Helena nalegała.

— No, ja zupełnie to nie wiem, ale się domyślam.

— No, niech powie.

— A jak zgadnę, to co będzie?

Frankowi oczy się zaświeciły. Spojrzał na perkalikowy kaftanik Heleny, pod którym pierś spoczywała i przysunął się bliżej.

— No, niech będzie tak. Jak panna Helena zgadnie, to ja pocałuję, a jak nie, to panna mnie.

Helena się zawachała.

— No, co tam, perswadował stróż, — albo to śmierć; ja przetnę. — Franek miał interes w tem, żeby Helena zgadła; obiecywał sobie bowiem wiele roskoszy w tym pocałunku, zostawiony zaś na łasce Heleny nie wiele mógł uzyskać; dokładał więc wszystkich sił, aby jego przeciwniczka zgadła. Kiedy się to stało, Helena z uśmiechem przebiegłości odezwała się:

— Trzeba było gadać odrazu. Przecież to nie sekret, był wczoraj na herbacie pan Suchecki. Franek w myśli powtórzył sobie kilka razy to nazwisko a potem silnie w pół objąwszy Helenę, wycisnął pocałunek na jej pulchnej twarzy.

Wyzyskał swoje prawa, bo aż się na łóżko pochyliła, jak ścisnął.

Wyszedłszy z mieszkania stróża, Franek czuł się olbrzymem i pewnie by odnośny do swej wielkości chód zastosował, gdyby nie maleńkie przeszkody ze strony wódki; ten niewinny trunek wywarł dziwny wpływ na Franka. Biedak tak się ucieszył tryumfem swego posłannictwa, że stracił wrodzone pojęcie o linii prostej.

Pan Karol, oczekiwał z niecierpliwością powrotu wysłańca. Skoro Franek w drzwiach się ukazał, niecierpliwie go zapytał:

— No, gadaj.

Franek obejrzał się za krzesłem, dla podparcia się, a nie znalazłszy go posunął się ku ścianie.

— Cóż ty, upiłeś się, szelmo!

— Szelmo — pomyślał Franek. — Takie przyjęcie, za pełną poświęcenia i owoców wycieczkę!..

— Wcale się nie upiłem, tylko chciałem się dowiedzieć, więc poczęstunek...

— To ja ciebie posyłałem, żebyś się spoił, jak zwierzę, ty, ośle jakiś!

Franek oniemiał. Zamiast wdzięczności, spotkał się z obelgami i to od swego kochanego pana. To go zabolało.

— No gadaj, kto był?

Franek się uśmiechnął. Zbliżała się chwila jego tryumfu.

— Był pan Suchecki — wyrzucił jednym tchem. Ale zanim zdołał zmiarkować, jakie wrażenie uczyniło to na Karolu, poczuł na swej twarzy policzek.

— A ty łotrze, upiłeś się i jeszcze będziesz sobie żartował ze mnie?!.. A cóż to ty nie wiesz, że pan Suchecki nie żyje od roku.

Bywają chwile w życiu ludzi o najmniej nawet wydelikaconych pojęciach, w których następuje reakcya w myślach. Taką reakcyą spowodował policzek Karola w pojęciach Franka. Uderzenie wytrzeźwiło go. Jakto? pan go bije za to, że on mu chciał zrobić jak najlepiej, i jedynie przez nieświadomość, której nie był winien, źle się sprawiwszy, otrzymuje policzek!.. A toż Burek, kiedy go Franek niechcący warząchwią uderzył, nie rzucił się na malca, tylko warknął. A więc pan jego gorszy od Burka, bo nietylko się gniewał, ale i bił. Niesprawiedliwość rozdrażniła go. Spojrzał na Karola, naprzód gniewnie, później jednak pięść zacisnąwszy, milczał.

— Ja takich pijaków nie potrzebuję — kończył Karol. — Jutro dam ci pieniędzy na drogę i wracaj do domu.

ZNÓW NA FOLWARKU.

Przepowiednia pana na Dziubinie nie miała się widocznie sprawdzić — nie sądzonem było Frankowi «wyjść na ludzi».

Pozbawiony raptownie miejsca, znalazł się na bruku miejskim z dość szczupłym zapasem grosza, jakim go Karol przy odejściu obdarzył. Tu, rozpoczęła się pełna udręczeń i przykrości wędrówka za miejscem, Franek bowiem na wieś wracać nie chciał—wstyd mu było, że utracił zajęcie. Pobyt roczny w Warszawie zmienił «Żołnierzaka» do niepoznania; towarzystwa w jakiem z konieczności musiał przebywać, zgubnie oddziałały na jego moralność, a przechodząc kolejno posady stróża, posłańca, drwala i poługacza kolejowego, coraz bardziej staczał się po stromej pochyłości zła, tak, że wyczerpawszy wszystkie środki do życia i nie mogąc nigdzie znaleźć zajęcia, postanowił wrócić na wieś, do Dziubina. Tu nic się nie zmieniło. Panicz powrócił z miasta, ale jakiś chory i rzadko się pojawiał, pan jak dawniej po polach bryczką jeździł, a Magda ludziom gotowała.

Pod wieczór było, kiedy drogą od szosy, wlókł się zbiedzony i wynędzniały Franek. Młody, a starcem był prawie. Magdalena stała w drzwiach izby folwarcznej, kiedy Franek nadszedł. Poznał matkę, ale nie pospieszył się z przywitaniem. Ona podniosła rękę do oczu i poznawszy Franka, żałośnie zawołała:

— A co się z ciebie zrobiło!

— A co, wykierowali mnie na ludzi!...

. . . .

Wieczorem, przy kolacyi, gdy się ludzie zeszli, opowiadał Franek swoje przygody, a gdy skończył, opadł na ławkę i długo spoczywał, jakby w uśpieniu. Nazajutrz, wyszedł przed kuchnię. Te same sztachety okalały ogród i ten sam dwór wznosił się wśród zieleni, budzącej natury... Powiódł okiem dokoła, ale już nie ciekawość się w niem malowała. Usłyszawszy jakieś głosy, podsunął się bliżej... W cieniu lipy, na fotelu, obłożonym poduszkami, siedział Karol, wybladły—stolica mu snadź nie posłużyła. Na widok ten, Franek ścisnął pięść, pogroził nią choremu i splunąwszy, odszedł.

Coby o tem wszystkiem powiedział indyk, gdyby żył?!..

ZŁOŚĆ.

Spoglądam martwym wzrokiem na nagie szkielety,
Które stały się łupem moim i ofiarą...
Zatrułam w sobie litość i serce kobiety
I zostałam bezduszną okrucieństwa marą —
Siostra wieści — mam brata w aniele — mścicielu,
Który cele me wspiera, sam żyjąc — bez celu...

Gardzi mną prawda — miłości nie słyszałem śpiewu,
W kolebce mię naznaczył stygmat potępienia:
Ja — córka nienawiści, a poczęta z gniewu
Nie mam praw do litości, ani przebaczenia!..
Swiatłości dnia nie znoszę — ślepi mnie blask słońca,
A czyny moje kryje — czarna noc bez końca!..

Przeklęta — noszę na sobie człowieczeństwa znamię,
Abym mogła tem snadniej oszukiwać ludzi...
Choć usta głoszą prawdę, serce moje — kłamie,
Gdy sztuczna maska fałszu zaufanie budzi...
W pół drogi się nie cofnę, chociaż cel daleki,
Choć za roskoszy chwilę muszę cierpieć — wieki!..

. . . .

O, gdyby raz zakończyć te straszne cierpienia
I nie czuć co jest hańba i rozpacz i trwoga...
Zaniechać zemsty, walki i dzieła zniszczenia
I w proch się rozwiać przed wielkim majestatem — Boga!..

. . . .

Ale darmo!.. Przedemną piekło się roztwiera —
I znów muszę się tułać, jak duch — Ahaswera!..

I znów naprzód wytkniętą muszę kroczyć drogą,
Na której miast róż wonnych kwitną same głogi...
Rzucać potwarz — nie chroniąc przed fałszem nikogo,
Kto się stanąć ośmieli pośród mojej drogi —
Litości mi nie wolno uczuć dla ofiary,
Chociaż ludzkiej i bożej obawiam się kary...

Gdy mię potwarz zasłania — wtedy jestem zbrojna,
Walka bowiem jest dla mnie codzienną potrzebą —
Nie zdoła mię przerazić najstraszliwsza wojna,
Choćby mi, jak Tytanom, przyszło zdobyć — niebo!
A gdy zwycięztwo odniosę po trudzie i znoju
Bezwstydna, zwykłam stawić warunki pokoju...

Lecz nie zawsze dłoń moja bezkarnie uderza;
Gdy mnie Temis na drodze spotka sprawiedliwa
Mój pocisk się rozbija o stal jej pancerza,
Choć mi wieść stu-językczna dopomaga mściwa,
Wtedy straszna za czyny dotyka mię kara —
I cierpię to, co moja cierpiała ofiara...

Uczuwam wstyd i boleść upadłych aniołów
I chciałabym krwią własną okupić niesławę...
Zapomnąć przeszłość — odrodzić jak Feniks z popiołów,
Zaprzysiądz wobec świata miłość i poprawę...
I przedemną powstaje dzieł moich szkarada,
Na które patrzę nędzna, znękana i blada!..

I strumień łez z ócz moich wypływa obfity
Patrzę w przestwór daleki — w przejrzyste wód łona...
Nademną Bóg i niebios cudowne błękity,
A w duszy rozpacz, boleść i duma szalona...
I słyszę głos surowy, lecz pełen litości:
„Taka być musisz, boś nigdy nie znała — miłości!

„Idź naprzód — gdy cię spotka w wytkniętej kolei
Postać z gwiazdą na czole, światłością owiana —
To będzie Bóstwo Wiary, Miłości, Nadziei...
Wtedy pokory pełna padnij — na kolana
I za zrządzone ludzkości bolesne cierpienia
I za winy przeszłości błagaj — przebaczenia!"

Edmund Rossowski.

ALBUM POLSKIE.

(XVI. XVII. i XVIII. w.)

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

Trzydziesta trzecia karta.

U góry na wstędze:

Per labores ad honores.

Herb — Ptak czarny czubaty stojący; takiż na hełmie, z prawej strony tarczy włócznia, z lewej chorągiew w pasy: czerwony, biały, złoty a na niej niebieski krzyż wycinany.

Dołem wstęga i na niej:

Philis Wdett
Cap. Sacr. Reg. Mai. Polo
a: 1640.

Trzydziesta czwarta karta.

U góry na niebieskiej wstążce:

Festina lente.

Niżej herb Janina, tarcza w tarczy i koło niej głoski: A. S. D. S., na hełmie pawie pióra. Otacza wszystko wieniec...

Si fortuna volet, fies de Retore Consul
Si nolet haec eadem fies de Consule Retor.

Z drugiej strony:

Haec adijcere voluit amicae recordationis gratia amicus amico.

Adamus a Suchodoly Suchodolski. mpr. Eques Polonus. Anno Dni 1640 30 Mai.

Na wstędze różowej u dołu:

Amat victoria curam...
Per aspera ad prospera.

Trzydziesta piąta karta.

Qui sua metitur pondera ferre potest.

Paucula haec adscripsit Praestantissimo ac Doctissimo D. Possessori in aptissimum fauoris simulacrum. 24 Martij styl. vet.

A. D. 1641.
M. Laurentius Bodock
In Academ. Rostockien.
Prof. publ. Eloquen.
m. p.

Bodock Wawrzyniec, mnich franciszkanin z Poznania, był tam w początku penitentarjuszem, spowiednikiem itp. Później zrzucił suknię i zlutrzył się. Był professorem gimnazjum w Rydze i wymowy w Rostocku. Nosił tytuł radzcy kcia Meklemburgskiego, umarł 1661 r. Wydał kilka dzieł anti-papieskich po łacinie. Jedno z nich na pochwałę Lutra.

Trzydziesta szósta karta.

Bardzo pięknie odmalowany herb Jastrzębiec, szaro ze złotem.

Gloriosius est signa
militaria prius a-
missa recuperare
quam fuit ignomini-
osum ex amittere.
Non opes rex e te
sauri praesidia
regni sunt sed
amici.

Animi candorem offerens Amatissimi Dno Danieli Wachslager aponit Petrus Trzebieński mpp. Eques polonus. Martinus Trzebieński.

Trzydziesta siódma karta.

Virtus se ipsa contenta
Solem e mundo tollit qui
nollit amicitiam.

Herb Koniecpolskich, szaro.

Ob virtutis amorem, amicitiae Symbolum ornatissimo Dno Danieli Wachslager manum meam apposui.

Andreas Joannes a Koniecpole Koniecpolski Eques Polon. S. R. Mtis Polon. Camerarius.

Lugd. Batavorum. 1641. 23 Novembr.

Alexander Koniecpolski.

(Wachslager — Burmistrzem był w Toruniu).

Trzydziesta ósma karta.

Rysunek piórem i tuszem, wyobraża muzykantów z trąbkami, z polska poubieranych, prowadzących niedźwiedzia na łańcuchu. Monogram pod nim M. A.

Z drugiej strony:

Z młodych liat asz do starost
iest moia myssl y Ufnost,
W Bogu, ktorzy iest nadzieie moie
mnie moczne zamek y ászbroie.
Przeciwko moie nie przyiaciely,
ktorzy mnie nie mogą bycz przeczywnemy
Przytym życzę od Boga, abym dostałł
Panięką grzeczne w nie będę się kochał
Y odyddąc z tego swiatu
Duszne zbawienie częsływe Łiate.
Z przyjazn y miłość dobrze ia
Bruno Hartman młodzieniac
Ryszki na pamiątkę ustawiczne
Uczonemu Sławetnemu Panu
Cratonni Butnero w Rydze
Roku 1642 Miesiące Sep. 29 dnia.

Symbol.

Czyń dobrze, a patrz koncza, ds ist dhuc guthes u. hebe nachm. ende.

Trzydziesta dziewiąta karta.

EVA anagr. VAE. ADAM. anagr. DAMA.

Vix interdictâ decerpserat arbore pomum
Primorum Patris et Matris iniqua gula:
Numine ad aequum ambos subito avcessente tribunal,
VAE clamawit EVA ut DAMA sinebat ADAM.

Plurimum Reverendo Dignissimo et Doctissimo Viro, Dno. Martino Rösnero, Concionatori apud Thorunenses ad D. Jacobi vere orthodoxo et dignissimo. Dno Fautori et amico sincere honorando haec pauculae boni ominis ergo adjecit.

Johannes Thyrdus. Ecclae Sversinensis, Concionator Polonus, Thoruni, die 13 JunJ

Anno NIL peCCare, et VbIqVe CVnCta. Vt DeCet agere, soLIVs IoVae (?!) I D esse pV tatVr. Demosth. in Orat, de Corona.

(1643?)

Symb.

In tenebris sedeo
Tob. 5.
nam:
Impia turba sumus.
Luc. 17. v. 10.

Czterdziesta karta.

Herb Gryf kolorami.

Viri amoris manus non in verbis sed in factis agere radices.

Kein Freundschaft vor der Zeit nit lobe biss die bestandigkeit erw .... die ...

In signum perpetuae amicitiae Nobilissimo Domino possessori apposuit Achacius de Latoszyn Latoszynski C. de Cedro.

(1643. Thorn, Mart. Drudowskiemu).

Czterdziesta pierwsza karta.

Ars durior Marte.

Ingenia Polonorum sunt aperta et candida, Falli quam fallere magis apta.

Omnia a Deo.

Die 22 Septem. A. D. 1644.

Strasburgi.

Prestantissimo atque Excellentissimo Viro Dno Martino Rosnero Pastori in Strasburg Vigilantissimo, in perpetuam memoriam. Nicolaus Zaiącziski (Zajączyński?)

Czterdziesta druga karta.

Fortel iest ieden na szczęście wszelakie
Lub źle lub dobrze serce mieć jednakie.
Albertus Sławiński Polonus
Pastor Wittembergen~.

1644.

Johannes Hulsemannus.

Czterdziesta trzecia karta.

Herb Prawdzic. Kolor.

Non potest vocari pauper, qui amicis dives est, nec dives, qui ab amicis pauper est.

Franqueri Frisiorum. A. 1647.
4 Julij.

Insignum perpetuae amicitiae,
haec paucula Nobilissimo Dno
Johanni Austen affinxit
Nicolaus de Łabiszyn Latalski.
mpp.

Czterdziesta czwarta karta.

Herb hr. Krasickich z połączonemi: Rogala. Leliwa.

Kapelusz zielony nakształt kardynalskiego okrywa go.

U góry:

Verae amicitiae difficillime reperiuntr in his qui in honoribus Reipublicae versantur. Tullius.

U dołu na wstędze:

Nicolaus Krasicki Comes S. R. I. Epus Argenensis Suffrag. Vladislauiensis et Pomeraniae Secretarius Pol. R. M. et Legationis ad Sereniss. et potentissimum Imperatorem Ferdin. Tertium. 1649.

Czterdziesta piąta karta.

Dulcis hora
Brevis mora.
Symbolum.
Audendum.
Lugduni Batavorum
prid. Non. Julias
Anno Christiano
MDCXLIX.
Eximio et praetantissimo Viro
Juveni Dni Samueli Berndt

Amico suavissimo pauca haec, honoris et amoris ergo addere libenter voluit, quoniam et tenetur, ad officia etiam humillima promptissimus.

Hieronymus Gratus de Moskorzow Moskorzowski. Eq. Pol.

Czterdziesta szósta karta.

Herb Viscontich, (taki sam jak Sforzich)
U góry na wstędze napis: Quasse non rupte..?.
U dołu: Jo. Bap-ta Visconti S. C. M. Bellicus Consiliarius nec non Sr. Regis Poloniae intimus Camerarius et ejusdem in Aula Ca. ablegatus.

Czterdziesta siódma karta.

Primo Vere nivent vites Antumnus ut uvas
Colligat, et pressis potet bene cultor ab illis.
Mens quoque si nescis, humana est virea nostra.
Primo vere viro. Non sit sine flore iuventus.
Ne tibi forti seni dicat, ridente Thalia,
Quod saltatrici dixit formica locustae.

Nunquam virtus
vitio adiuvanda est,
se contenta.
Seneca de ira lib. 1
cap. 9.

Doctissimo Dno possessori
haec apposui
amicus
Simon Pilger J. V. D.
et in Academia Vilnensi
Pandect. Professor Ordi.

Anno 1650
28 Aprilis.

Ciąg dalszy nastąpi.

MARYA POSPISZILÓWNA.

Czeszka na polskiej scenie, mówiąca swym rodzimym językiem w otoczeniu polskich aktorów? Wydawało się to dziwnem tym wszystkim, którzy zapomnieli, że lat temu kilka nasza Derynżanka w podobnych okolicznościach, z właściwym sobie talentem zapoznawała Czechów z naszym językiem, że przez jej usta brzmiały skargi Amelii, może nie we wszystkich odcieniach zrozumiane i że dziś, słuchając pn. Pospiszilównej doznawaliśmy wrażeń, z któremi doskonale są obznajmieni Czesi. Całe ułatwienie zrozumienia, po za pewnem podobieństwem języków leżało w sile talentu artystki, w plastyczności jej gry. Na tak ryzykowne próby mogły się zdecydować tylko talenta prawdziwe, mogące przemówić językiem najdostępniejszym, bo grą odczutą głęboko i wcieleniem się w odtwarzaną kreacyą. Że naszą sztukę godnie zaprezentowała Derynżanka, nie wątpimy, że czeski teatr doskonałą miał przedstawicielkę u nas w pn. P. wiemy i dlatego nie dziwimy się, że zarówno w Poznaniu, Warszawie, Piotrkowie, Częstochowie i u nas zrozumiano czeskiego gościa.

A jeżeli go zrozumiano, odczuto, uznano i pokochano, to wielka to dla talentu artystki pochwała, pomimo bowiem wszystkiego, co się u nas o teatrze pisze i mówi, pomimo wielkiego zainteresowania się sceną i aktorami, zapał publiczności nie jest proporcyonalny do strawionego na dyskusye o teatrze czasu. Chętnie widujemy znakomitości, ale nadto nie entuzyazmujemy się na ich przyjęcie. Doznane wrażenia chowamy starannie; jest to właściwością publiczności nietylko naszej, lecz i warszawskiej, którą dość zgodnie (jak na dwoje artystów) ocenili Sarah z Coquelinem, „że jest najchłodniejszą“. Dodajmy do usposobienia naszej publiczności, że pn. Poszpiszilówna występowała u nas w porze, kiedy najzapaleńsi teatromani stronią od niego zapamiętale, dodajmy, że występowała w sztukach nietylko znanych, ale i „ogranych“, że grała w języku na pół zrozumiałym, a nikomu się dziwnem nie wyda, iż obawiano się pierwszego zetknięcia artystki z publicznością „chłodną“, która mogła niedopisać. Ale talent jest magnesem, zrobił swoje. Publiczność przyszła, aby się przyjrzeć, a wyszła... z zamiarem i chęcią najszybszego powrotu.

Na pierwszy występ wybrała sobie pn. Pospiszilówna Gabryellę w odwiecznej komedyi Meilhaca *Frou-Frou*, doskonale u nas znanej. Sztuka głębszej wartości literackiej niema, ale dla aktorki jest polem popisu przez wszystkie akty. We *Frou-Frou* jest owa próba teatru amatorskiego, która pozwala okazać zdolności naiwne, w tejże sztuce jest scena zazdrości, w której artystka może okazać zdolności dramatyczne, jest wreszcie scena konania, całkowicie napisana na popis aktorski. Pole bogate dla talentu, obfitującego w pomysłowość. Są dwa sposoby pojmowania ról: wytknięcie kulminacyjnych momentów sztuki i osnucie całej kanwy na tych punktach z zesunięciem pozostałej akcyi na plan drugi, lub też gra równa, niewyróżniająca pojedyńczych momentów, drobiazgowa. Panna Pospiszilówna jest zwolenniczką drugiego rodzaju. Niema dla niej miejsc wyjątkowych, ale niema też podrzędnych. Wszystko co jest, równie jest ważne. Ta metoda pojmowania roli ocala najdrobniejsze odcienia, ale zaciera szerokość tła. W granicach ściśle przepisanych trzymając się, aktor nie odważa się na swobodę, która widza porywa, zapala — w pierwszym wypadku jest on mówcą, co słuchaczy zdolny unieść krasomówczą siłą, w drugim sumiennym analizatorem, który zachwyca wprawdzie, ale unosi mniej; jego uwagi wymagają zastanowienia. Ale ten system gry, a jest on wynikiem szkoły, ma strony dodatnie. Jest podstawą do dalszej, sumiennej pracy, jest zasadniczą nauką, jak poważnie, starannie pojmować należy sztukę.

Nie trudno jest przepowiedzieć, że pn. Pospiszilównie przyniesie on wiele dobrego, jest dla niej zadatkiem powodzeń, jakie ją spotkają niewątpliwie, jest dla niej drogowskazem w dalszych studyach. Na potwierdzenie słów powyższych przytoczyć można kilka przykładów, poczynając od tego, że w *Rozwiedźmy się* niezależnie od drobiazgowości, rozwija artystka znaczny zasób tej swobody, tej werwy, że zatem uznaje ona sama potrzebę wprowadzania do swej gry tego pierwiastku. We *Frou-Frou* nie widzimy go jeszcze; Gabryella jest płocha, roztrzepana, wesoła, uśmiechnięta, ale też i nieco jednostronna. Jest *Frou-Frou* bez zastanowienia przez cały bieg sztuki, a jednak ta kobieta ma porywy szlachetności, kiedy się cofa przed pocałunkiem Valreas'a (akt II), dobrego serca, kiedy siostrę w domu instaluje (końcowa scena aktu II), jest lwicą gniewną w scenie zazdrości (akt III) i pokorną (akt V). *Frou-Frou* jest zawsze, ale jakież walki zachodzą w sercu tej kobiety. Z dziecka, co lekkomyślnie odpowiada na zapewnienia miłosne, żartobliwem: „wiem, wiem“, z żony kapryśnej, co zgodziłaby się na pocałunek w czasie przedstawienia „dla biednych“, zmienia się w zazdrosną o prawa żony i matki, zmienia w drżącą z obawy o pojedynek kobietę serca, wreszcie w złamaną życiem a zawsze lekkomyślną pokutnicę. To są najważniejsze chwile sztuki, pn. Pospiszilówna akcentując je, nie wyróżniała z całości, grała w jednakowem *tempo*. Nie czynimy w tych słowach zarzutu, tylko wskazujemy, że jeszcze nie przyszedł czas na grę wirtuozowską, pełną pociagnięć śmiałych, zamaszystych. A że posiada w tym kierunku zdolności czeska artystka, dowodem Cypryanna w *Rozwiedźmy się.* Tu już niema szkolarstwa w pojęciu charakteru; od pierwszego wejścia do słynnych wyznań i jeszcze słynniejszego wykrzyknika „Nie dam się rozwieść!..“ pn. Pospiszilówna nie tracąc z uwagi oczek koronkowej roboty, zadziwia niespodziankami. To już przekonywający dowód samodzielności, śmiałości młodej artystki. Wykrzyknik w akcie II. *Rozwiedźmy się*, scena badania Sergiusza w *Fedorze* (akt II) i rozmowa z hrabią w *Weselu Figara* (akt III) to trzy sceny dowolnie wskazujące, że pn. Pospiszilówna nie długiego potrzebuje czasu dla osięgnięcia potężnych rezultatów w pracy.

Już te siły wyrobione, które dziś widzimy w artystce są znaczne, a warunki jakiemi rozporządza jeszcze większe. Powierzchowność ujmująca, głos silny, dźwięczny, postawa okazała, ruchy śmiałe, pewne, pojęcie ról trafne, to wszystko bardzo wiele. jeśli się weźmie pod uwagę, że niedawno je artystka grywa, że przed kilku jeszcze laty nie pozwolono jej próbować sił w kierunku dzisiejszego repertuaru. Cóż dopiero, gdy przez kilka lat zżyje się z przedstawianemi postaciami, urozmaici repertuar. *Narodne Divadlo* będzie z niej dumne.

Wracając do gościnnego repertuaru artystki, na pierwszem miejscu stawiamy w nim Cypryannę (*Rozwiedźmy się*), później Zuzannę (*Figaro*), Gabryellę (*Frou-Frou*), Fedorę i nakoniec żonę w *Romansie paryskim*. W ułożeniu tego porządku, kierowaliśmy się miarą, z jaką artystka traktowała te role. Najwięcej artyzmu było w Cypryannie i Zuzannie, najmniej nadawała się żona w *Romansie paryskim*, chociaż i tam okazała pn. P. ważny przymiot swego talentu — czystość głosu w momentach dramatycznych. Ale Cypryanna miała lekkość Francuzki, swobodę, humor, ukrytą miłość dla męża, a wszystko finezyjne, delikatne, subtelne w odcieniach; misterny dyalog w komedyi Baumarchais'go, (która nie może się jakoś zestarzeć) nie tracił w ustach pn. Pospiszilównej, nawet w języku czeskim, owszem był on zrozumialszym od wymowy niektórych polskich wykonawców. *Fedora* znów pojęta jest na wskroś oryginalnie, nie czuć w jej opracowaniu wyraźnego kierownictwa, narzuconego pojęcia charakteru. Wymieniona już scena aktu II. i koniec III. zdumiewają pierwszy finezyą, drugi siłą. Scena konania pomyślana realnie, ale i estetycznie. Już to, wracając do ogólnej charakterystyki talentu pn. P., przyznać jej trzeba wiele zmysłu estetycznego. Jak starannie są pomyślane linije ciała w chwilach siadania, jak szczęśliwe jest pozowanie, tak lekceważone u nas, niesłusznie. Ale nie dziwimy się, że artystka ma na to czas, uprzednio nauczywszy się roli na pamięć i znając sztukę. Gdy bowiem nie dopełni aktor tych niezbędnych warunków, jakże może myśleć o pozowaniu, lub mimice twarzy. A jak pomaga to obznajmienie się sumienne z rolą, dowodem pierwszy akt *Fedory*, wymagający niesłychanego zajęcia widzów grą mimiczną. Pn. Pospiszilówna doprowadziła ją do *maximum*. Widz przykuty jest formalnie do sceny, razem z Fedorą niecierpliwi się, rozpacza, gniewa, oczekuje u okna schwytania zabójcy, wreszcie ślubuje zemstę. Pod względem malowniczości urządzenie sceny w akcie trzecim godne jest pochwały a zarazem każe pamiętać o p. Puldzie, artyście teatru pragskiego, który towarzysząc artystce w jej wędrówce, wytrawnym był doradcą w sprawach reżyserskiej natury.

Kończąc ten pobieżny szkic, powinniśmy uzupełnić go skonstatowaniem, iż niebywałe zajęcie obudziwszy wśród naszej apatycznej publiczności, czeska artystka przypomniała oddawna stwierdzony pewnik, iż sztuka prawdziwa zawsze jest ocenioną należycie. Ale sylwetka byłaby niekompletną, gdybyśmy w niej zanotowawszy zalety artystki nie wspomnieli o przymiotach pn. Pospiszilównej, jako mówcy i deklamatorki. W „Kole literacko-artystycznem“, gdzie podejmowano ją ucztą i z tej strony dała się poznać jako wybitny talent. Nic dziwnego, że w Krakowie pozostawiła po sobie najsympatyczniejsze wspomnienie i nadzieję, że ją ujrzymy niedługo na wysokim szczeblu sławy.

A. M.

Podania historyczne, wierzenia i pojęcia o świecie

MIESZKAŃCÓW ZABRZEŻY (pow. Nowosądeckiego)

podał

Walenty Szczepaniak.

Na lewym brzegu Dunajca, niedaleko miasteczka Łącka, na trakcie prowadzącym z Nowego Sącza do Nowego Targu, leży wieś Zabrzeż, w pięknej górskiej dolinie. Mieszkańcy jej są rządni i pracowici, temperamentu żywego i wesołego usposobienia. Strój ich powszechny góralski, gwara oprócz właściwości mazurskich posiada wybitne indywidualne cechy.

Podania i wierzenia poniżej podane wziąłem z ust ludu, wśród którego się urodziłem i wychowałem.

I.

Podania historyczne zestawiam w porządku chronologicznym tj. takim, w jakim prawdopodobnie powstały. Najstarsze z pomiędzy nich jest bez wątpienia podanie o jakimś królu polskim, który z całem swojem wojskiem również jak on skamieniałem oczekuje w jednej jaskini tatrzańskiej końca świata. Podania tego znajdują się dwie wersye. Pierwsza opiewa jak następuje [1]):

„Bardzok dåwno panuwåł,[2]) król Bolesłåw, wtóry (który) zabiuł św. Stanisława. Za to musiåł z całem wojskęm poniewiyrać sie po kraju, potem wsed do jedne jaskinie w Tatrach i tam skamięniåł i dopiéro przed samym sądnym dniem stanie i wszyćkik królów na całym świecie zawojuje. Razu jednego posed sobie jedęn kowål na ziele do Tatr i jak zbiyråł, to się tak wpåd do jakieś jaskinie i uźråł tęm zolniyrza, wtory na warcie ståł i wtory sie go spytåł, co on tu kce. Kowål opowiedziåł mu wsyćko jak sie stało i przyznåł sie, ze jes kowålęm. Wtedy go zołniyz poprowadziuł do króla i powiedziåł mu, ze jak mu król bedzie rekę podawåł, zeby mu podåł låskę. On zrobiuł tak i jak podåł królowi låskę, tak sie zaråz upåluła. Król pytåł sie go, jak tu ludzie zyją, cy na lipie takie liście jak dukåty, bo jak takie małe liście bedą, to wtedy bedzie sądny dzień. Potym kåzåł mu król okuć wsyćkie konie, a jak miåł wychodzić kåzåł mu dać zuzli do troka gurmęny. On wziął te zuźle i skory wysed na świat, patrzy, a tu z tych zuźli zrobiuły sie same dukåty. I od tego casu tęn kowål bął bardzok bogaty.“ Druga wersya opowiada zupełnie to samo, tylko początek ma inny, gdyż w nim niema mowy o św. Stanisławie i jego męczeństwie, a król polski niema żadnego nazwiska, co nas naprowadza na myśl, że to pierwsze podanie jest prawdopodobnie przerobieniem podania o Bolesławie Chrobrym. Powstało ono zaś z połączenia dwóch w jedno tj. podania Jana Długosza i podania ludowego.

Drugie miejsce ze względu na chronologię zajmuje cykl podań o św. Kunegundzie, którą lud tutejszy także „panią księżną“ nazywa.

„Święta Kunegunda, mówi podanie, bąła rodęm z Węgier, a bąła ona córkąm króla węgierskiego. Ona to sprowadziuła z Węgier sól do Wielicki“. Dalej opowiada sobie lud tutejszy. „Święta Kunegunda uciekała råz przed wojskęm nieprzyjacielskim a bąło to wåśnie w jesięni. I jak uciekała orali w jednym miejscu na zyto. Tak święta Kunegunda pokwåluła przed nimi Pana Boga i powiedziała, jak sie wås wto bedzie pytåł, cy tu nie sła jakå

[1]) Zachowujemy ile możności sposób przedstawienia gwary użyty przez autora, aby nie zatracać jej ciekawych właściwości. Red.

[2]) ł wymawiają Zabrzeżanie po mazursku jak ŭ (wargowo).

pęni, to powiédźcie, że sła wtedy, kiedyśmy tu orali. I posła dali. Pęn Bóg zaś dáł, ze zyto za jedno noc urosło i zeźrało. Skoro na drugi dzięń go zną, jedzie wielkie wojsko i pytają znáców [1]) cy nie widzieli jakie pęnie. A oni gádają: Widzieliśmy, jageśmy na to zyto orali. Ci sie wrócili i powiedzieli: „to bało jesce łoni, wto ją ta dogoni".

Inne podanie powiada: „Kiej świętá Kunegunda uciekała przed nieprzyjacielskim wojskęm, aby ją nie złapili prowadziuła za sobą láskąm Poprát. Pierwy Poprát nie sed tędy, wtorędy teráz idzie." Istnieje pomiędzy tutejszym ludem bardzo ciekawe podanie o św. Kunegundzie, odnoszące się zarazem do zdrojowisk w Szczawnicy, które tak brzmi: „Jak świętá Kunegunda uciekała przed Tataręmi, przysła nad Dąnájec i prosiuła jednego chłopa ze Scáwnice, żeby ją przewióz na drugą strąnę. Skoro ją przewióz, sjęła pierzcień z palca i dała mu za to i powiedziała, ze on i potomkowie jego bedą mieli skárb. Skoro tęn chłop przysed do chaupy, znaláz kwaśne źródło i od tego casu, jezdzą tęm pęnowie się łycyć".

Ostatnie nareszcie podanie mówi: „Ráz prawuwali sie Zásadniácy, Zbludzácy i Kamięnicácy [2]) o polęny. Ale ni mogli nic wyprawuwać. Tak pośli do Starego Miasta (tak nazywa lud tutejszy Stary Sącz) i prosili pęnie księzne, zeby ich rozsądziuła. Tak ona się kázała niyś w krzaśle na polęny, a jak ją nieśli, taká bała gęstá mgła, ze nic nie bało widać. Tak ona kázała porobić kopce tam, wtorędy ją nieśli."

O królach polskich w najbliższych czasach po śmierci św. Kunegundy panujących nie znalazłem dotąd w Zabrzeży podania. Dopiero o Janie Sobieskim odkryłem tutaj bardzo piękne podanie, które jawnie wskazuje, jak go lud za życia musiał podziwiać i wielbić, kiedy sława tego monarchy jeszcze do dziś dnia takim blaskiem świeci. Podanie to mówi: „Sobieski lubiuł bardzo wojnę, látego [3]) to gádują, ze „za króla Sobka, nie bało w stodole ęni [4]) snopka. Ráz wypadła wojna z Turkęmi. Turków bało bardzok duzo, a nasyk zaś bardzok mało, tak ze jaz dziesięciu Turków bało na jednego nasygo wojáka. Król Sobieski nie zląk się nic. Kazáł swoin zołniyrzom obyś [5]) siedym razy górę a Turkowi sie zdawało, ze tak duzo nasyk. Potym rozpocząła sie strasná wojna. Skoro miało słonko zachodzić na trzy godziny stanęło jesce, tak że u nas bął dzięń u Turków zaś noc ciemná. Nasi na piykne pobili Turków i od tego casu Turek już nie prowadzi wojny".

O Sasach mówi tylko lud tyle, „ze za nik nie bało wojęn i wszyćkiego bało dosyć, látego to gádują: „Za króla Sasa, jydz, pij i popuscej pasa." O Stanisławie Poniatowskim powiada tak podanie: „Ostatniygo króla to pęnowie zgubili" a o konfederacyi Barskiej wiadomo mieszkańcom Zabrzeży „ze konfederáci spuscali (na wroga) z Lęckoruny drzewo nabite brąnikęmi".

Z podań tyczących się historyi obcych narodów przytoczę ciekawe podanie o koronie węgierkiej, które mi tak opowiadano: „Cy wiycie lácego krzyz na węgierski korunie jest skrzywiąny? Já wąm to opowięm. Bało przepowiedzięne od dawna, ze tęn królęm węgierskim bedzie, wto bedzie na zelaznym stole jád. Tak wsyscy magnáci pospráwiali sobie zelezne stoły i nę nik jádali. A bął tyz tam tagze w jedny wsi biedny chłop. Ráz kiedy oráł w polu, przyniesła mu jego baba jeś. On przewróciuł pług i powiedział, kiej pęnowie jedzą na zelaznyk stołak i já bedę jád. Skoro juz zjád, patrzy do góry, a tu koruna prosto na głowę mu leci. Zacął sie oganiać istykem [6]) i skrzywiuł krzyz na korunie i látego to na węgierskich piniądzak krzyz na korunie jes skrzywiąny. Tęn chłop nazywáł się Stefąn. Nie panowáł długo, bo go ze zázdrości pęnowie zabili i od tego casu Węgry już ni mają króla".

[1]) żeńców.

[2]) Nazwy mieszkańców różnych polan Zabrzeży.

[3]) dlatego — [4]) ani — [5]) obejść

[6]) narzędzie żelazne do odrapywania ziemi z pługa.

II.

Wyobrażenia i pojęcia ludu Zabrzeskiego o świecie, nie mówiąc o umiejących czytać i pisać są jeszcze takie, jakie były przed kilku wiekami. Lud tutejszy opowiada dzieciom tak, jak opowiadano jeszcze za dawnych czasów, że „zięma jes plaská [1]) i nimá kójca [2]). Choćby wto całe zycie ciągle sed w jednę strąnę, to nigdy nie dójdzie na kóniec zięmie. Zięmia stoi na zelaznyk słupak. Jacy cwártá cęś jes zięmie, reśta jes morze. Morze jes bardzok głębokie, bo nimá dna. Król Salęmun kciáł morze zmiyrzać. Kázáł on zrobić kowálom bardzok długi łajcuk i w zelazny bęni kázáł się spuścić do morzá, zeby go miyrzać. Ale nie zmiyrzáł, bo ryba przegrzyzła łajcuk i połknąła bęnię. Wtedy Salęmuń narznął sobie palca i puściuł krwie. Tak sie zacąło morze igrać i wyrzuciuło rybę na brzyg. Skoro ją rybácy znaleźli zacęli ją rąbać. Jak rąbali tak uswyseli głos: Ostroźnie ta, bo tu já Salęmun. Skoro ją rozrąbali, wydostali z nie Salęmuna. Juz raz kciáł sie świat zapaś, ale ociec święty (papież) ustanowiuł suche dni i Pąn Bóg jesce dáł, ze sie nie zapád. Ale jak wto w suche dni nie pości to podgryzá te słupy. W zięmi jest piekło. W piekle jes bardzok gorąco. Daleko dziesi (gdzieś) we Włochak jes jedna góra, co w ni jes piekło. Góra ta jes opásęna łajcuchem. Jak sie zacnie z te góry kurzyć, to księdzá wychodzą z procosyjąm i modlą sie, to sie przestęnie kurzyć. Pod ziemiąm jest znoł (znowu) drugi świat. Na tęmtym świecie jes bardzok dobrze. Tęm nima nigdy zimy. Na jaboniak [3]) to złote jabka rosną, a kury to złote jájka niesą. Tęm są tacy mali (niscy) ludzie jak popki (lalki). Ci co we Wielicce sól kopią swyseli, jak na tęmtym świecie baba wołała: tiu, tiu, tiu!

Nad ziemiąm są obłoki a nad obłokęmi cyściec, a potym niebo. Do nieba jest bardzok daleko. Salęmun kciáł takzo wiedzieć, jak daleko do nieba. Wziął orła i wsiád nę niego i trzymáł w ręce piecęj (pieczeń) a orzoł za tąm piecęniąm leciáł, bo ją chciáł dostać. I juz mu skrzydła skwiercały od gorąca, bo juz niedaleko słonka bął. Wtedy uswysáł Salęmun głos z nieba: Salęmunie wróć sie, bo zginies, ale nie jedź tęm, dzie się bieli, ale na tę kępkę cárną. Tak on usluchál i obróciuł piecęj na dół i orzoł znowu na dół leciał.

W niebie jes bardzok dobrze i wesoło. Tęm zawse śpiywają jęnieli a święci tęjcują. Jak ráz do koła obejdzie, to jes trzy sta lát. W niebie jes Bóg, wtory patrzy na ziemię. Pąn Bóg widzi wsyćko, co sie dzieje na świecie. W niebie jes bardzok jasno, tak zeby człowiek od te światłości ociemniáł. Do nieba jes fórtka, a od te fórtki má kluce święty Piot. On pusca do nieba dusycki. Jak sie niebo otwiyrá, to jes bardzok wielgá wtedy światoś."

Nę niebie jest słonko, miesiącek i gwiázdy. Słonko jes jak wielgie, młójskie (młyńskie) koło i jes podobne do twárzy człowieka. Jak słonko u nás zájdzie, to idzie na tęmtęn świat pod ziemię i tam świyci. Jak u nas dzięj, to tęm noc, a jak u nas noc, to tęm dzięj. Słonko jak zachodzi, to wchodzi do morzá.

Miesiącek jest tak wielgi jak słonko. To co widzęmy w miesiącku, to święty Jyrzy grá na skrzypcak. Jak sie dobrze miesiąckowi przypatrzy, to widzęmy, ze coś stoi i trzymá skrzypce. Gwiázdy są takie wielgie świycki. Kázdy má swoję gwiázdę. Jak wto umiyra, to jego gwiázda spádá. Jak sie gwiázda z mietłąm pokazuje, to bedzie wojna.

[1]) płaska — [2]) końca — [3]) jabłoniach.

III.

O zjawiskach przyrody Zabrzeżanin prawi np., że „kiedy mâ lâć, to płęnetniki kójcystymi kapelusęmi robią dziury w chmurak i wtedy leje. A jak sie wsyćka woda wyleje to z morzâ nabiyrają znoł wody. Tęcza która się tuż po burzy pokazuje na niebie, wyświadcza płanetnikom niemałą usługę, ponieważ „tęca pije wodę“ i tę rozumie się doprowadza do chmur. „Nie trza iść tęm, dzie tęca pije — upomina starszy dzieci — boby tęca wypiuła“, gdyby to nie nastąpiło, „toby krew wyssała.“ Wprawdzie da za to pewne wynagrodzenie, gdyż „spuści potym wór piniędzy, ale człowiekowi nic z tych piniędzy, bo umrze zarâz.“

„Grad robią płęnetniki z lodu. Jak chłopy rąbały drzewo w lessie, to widziały, jak płęnetniki robiuły grâd z lodu i do becek kłady.“ Lud bardzo dobrze wie, że „to, co grzmi jes bardzok strasne i jakby człowiek to uźrâł, toby umar ze strachu. Świety Jyrzy bął bardzok ciekawy widzieć, co tyz to grzmi. Tak prosiuł Pęna Boga, zeby mu go pokâzał. Ale Pęn Bóg powiedziâł mu, ze jacy ucho uźry to sie zlęknie. Ale święty Jyrzy kóniecnie prosiuł. Tak mu Pęn Bóg pokazâł ucho tego, co grzmi, a święty Jyrzy tak się przeląk, ze jaz do miesiącka ze strachu skocył i tęm grâ i lâtego podcas grzmotu zapâlâ świyce“. Lecz daleko straszniejszym przynajmniej w skutkach swoich jest piorun, czyli jak go lud nazywa „pierąn“. „Jak pierąn zapâli, to tego ognia nicym nie zagasi, jacy mlykęm od biâłe kozy, ale ta koza musi ęni jednego włosa innygo ni mieć na sobie. Pierąn to jes bardzok wielgi chłop. Jak pierąn strzylâ to taki łajcuk z nieba leci a na kójcu tego łajcuka jes pâłka. Mâ bardzok duzą fuzyją i strzylâ za latâwcęm, ale go ni moze zabić. Lâtawiec jes to malutki ptâsek, mâ ogon wystawiony do góry i gâdâ do pierąna: całuj mie w d . . . Pierąn strzylâ w niego, ale go ni moze zabić. Lâtawiec to sie robi z takiygo dziecka, co przez krztu umarło, abo z poronięciâ. Raz posed jedęn chłop do lassa na poluwęnie. Tak uźrâł, jak malutki bardzok ładny ptâsek, przelatuwâł z drzewa na drzewo i wypinâł ogôn do góry. Tak on nie wiele myślący wycyluwâł do niego i zabiuł go. Wziął go do torby i zabrâł sie juz do domu. Skoro wysed na polęnę, spotkâł bardzok wielgiego chłopa. Ten chłop prosiuł go, zeby mu dâł tego ptâska, a on mu dâ za to dwa rozki: jedęn ze śrótęm, drugi z prochęm i powiedziâł, ze co jino pomyśli sobie, to przydzie do niego i zabije. Tak on sie zgodziuł na to, a tęn chłop dâł mu jedęn rozek z prochęm, a drugi ze śrótęm i powiedziâł mu, zeby tych rozków nigdy nie kłâd na zięmi, to ci nigdy nie bedzie śrótu i prochu brakuwało. I powiedziâł mu, ze on jes pierąn i ze juz siedym lat za tym ptâskęm chodzi a ni moze go dostaś. Potym posed dzieś do lassa. Od tego casu tęmu chłopu bardzok się wiedło poluwęnie. Jak posed do lassa, to zawse coś zabiuł. To go tyz różni pęnowie zaprâsali ze sobąm na poluwęnie. Stâł juz bardzok bogaty. Râz jak posed na poluwęnie, podpiuł sobie tęm. Połozâł przez zapomnienie rozki na zięmi i skoro ich biere, patrzy, a tu prôźne i od tego casu znowu sie mu nie darząło, ale nie potrzebuwâł juz chodzić na poluwęnie, bo bął bogaty.“ Taką to historyjkę opowiada sobie lud i o „pierąnie.“

Ciekawe również jest opowiadanie o wietrze. „Wiater to bardzok mocny chłop. Mâ na sobie oktusę (prachtę) i jak tąjcy to tąm oktusąm robi taki wiater. Râz wiâł sobie chłop zboze na boisku, a wiater mu ciągle zawiywâł. Tak on sie zgniwâł, porwâł z wyględa (otwór w stodole) nóz i cisnął na pole. Potym sukâ noza, ale nigdzie ni moze nalyś. Coś po roku posed tęn chłop w podróz i zabłądziuł w lessie. Na scęście uźrâł przed sobąm świâtâłko, posed w tę stronę i natrafiuł na chałpę. Wlâz do nie i prosiuł o nocnik (nocleg). Obiecali go przenocuwać i dali mu nawet wiecerzą. Jak jâd wiecerzą i krajâł chlyb, poznâł swój nóz. Tak sie pytâ gazdy. Skąd sie tyz tu wziął mój nóz? Wtedy gospodârz gâdâ: Nie pęmiytâs to jageś cinął nóz, kiedy wiater zadymâł. Tym wiatrem, to jâ. Patrz jageśmi nogę okalicął (zranił), ale ci terâz daruję (przebaczam) ale pamiytâj, zebyś więcy nie ciskâł do mnie noza.“

„Wiater powstaje także wtedy, kiedy sie wto obwieśsi.“ Przyczyną jego są djabli, którzy się u ludu „pokuśnikami“ nazywają. „Tęn wiater robią pokuśniki, jak niesą dusę do piekła“. Niekiedy diabeł dla swawoli sprawia wicher, który podobny do trąby powietrznej. „Jak diabął leci, to sie robi taki wiater, co sie w kółko obracâ“. Bardzo gwałtowne wichry są niekiedy sprawą smoka, bo „jak câmoksięźnik na smoku jedzie, to bywâ taki wiater, ze jaz dachy obdziyrâ. Jak dzie smok zawinie ogąnęm, to chałpy i drzewa obâlâ“. „Mróz“, co w zimie dokucza ludziom i zwierzętom, który niby z ironii maluje na oknach przeróżne zioła i kwiaty, to także „chłop“. On to wypuszcza ze siebie owo nieznośne zimno, on zamraża wody.

Każde źródło ma swego ducha, czy anioła, „wtóry z morzâ wodę sprowadzâ“. Jest to praca rzeczywiście bardzo przykra, ale konieczna, bo bez niej wyschłyby studnie, przestałyby płynąć strumienie. Sprawcami wirów w rzekach są topielce. „Topielce wciągają ludzi do wody i topią. Topielec jes to z takiego dziecka, co sie razęm z matkąm w zywocie jesce utopi. Topielec wyglądâ jak małe dziecko i jes cały nagi. Jak miesiącek świyci w nocy, to wychodzi z wody, usiada sobie nad niąm i iskâ sie. Râz jedęn chłop miâł kopę przy Dąnajcu, a cosi mu ją ciągle w nocy rozwâlało. Tak on sie raz skrął (skrył) s kijęm za kopąm i cekâł, jaz przyjdzie co kopy rozwâlać. Nie długo wychodzi z wody topielec. Wysed na kopę i zacął się iskać. Ale wâśnie (właśnie) miesiącek zased za chmurę. Tak topielec gâdâ: „Świyć mi jasno, bo cię trzasnę.“ Wtedy mój chłop, jak go nie golnie kijem bez plecy. Topielec myślâł, ze to miesiącek go tak wióknął i powiedziâł: Wolno świycić i nie świycić, ale nie wolno nikogo bić po rzyci. Potem uciyk do wody i od tego casu juz nie rozwâlâł kopy.“

Jeżeli się ogniki na bagnach lub gdzieindziej pokazują, „to sie piniądze świycą, na wtórych dusa pokutuje, abo diabął siedzi w postaci câmego koguta i misâ na korycie piniądze i nie dâ ik nikąmu brać.“

Spadające meteory są przyczyną również najdziecinniejszych wyobrażeń u ludu. Jedni mówią: „to się gwiazdy cyscą; to co spadnie z gwiazdy na ziemię jes podobne do zgniułe śliwki.“ Inni powtarzają prawdopodobnie za astrologami średniowiecznymi, że „to gwiâzda z nieba spâdâ, i że wtoś na świecie umar.“

Jeżeli się słońce ćmi, powiada lud, że „słonecko choruje, jes wtedy câłkięm cyrwone i bardzo strasne“. Toż samo mówią o księżycu, że „miesiącek choruje; nie trza na miesiącek palcęm pokazuwać, bo to grzyk“. Niezwykła jasność w nocy, ukazująca się niekiedy na sklepieniu niebios, zrodziła przekonanie, że „to sie niebo otwiyrâ i wtoś jidzie do nieba.“

W ten sposób tłumaczy sobie jeszcze dzisiaj lud nas zjawiska przyrody, jakie jego oczy uderzają.

WYCIECZKA DO JUTLANDYI

przez

TEKLĘ SUENSSON.

Gdy miałem lat dwanaście, ciotka moja postanowiła podróżować. Mieszkaliśmy, o czem powinien się czytelnik na wstępie dowiedzieć, w Kopenhadze a ona, ciotka mianowicie, od kilku

lat była chorą, jak sama twierdziła, wskutek czego lekarz nasz domowy zaordynował jej morską przejażdżkę.

— Podróżuj pani — mówił — ale morzem — morskie powietrze wzmacnia nerwy — jedź pani zaraz!

I doktór Hansen zatarł ręce.

— Podróżować? — powtórzyła ciotka zdziwiona. Ależ ja nie mam udać się do kogo?

— Cóż to szkodzi! Zwiedź pani jaki hotel w Szwecyi, Norwegii, Grenlandyi, lub gdziekolwiekbądź, byle to było za morzem!

Wziął swój stary kapelusz pełen wypuklin i wtłoczył go na głowę w ten sposób, iż pagórkowata wyniosłość zmieniła się w skromną dolinę.

— Tylko bez namysłu! W czternastu dniach musisz pani być w drodze! Żadnych mikstur, proszków, pigułek nie zapiszę! Morze — to wszystko!

I uprzejmy doktór zaaplikował dolinie z pod spodu potężnego klapsa, tak że ta znowu w wspomnianą przedtem górę się zamieniła. Poszedł.

Ciotka westchnęła, spoglądając z bladym uśmiechem przez okno a ja myślałem, gdyż dzieci są mali myśliciele. Czyż wieczne jeremiady ciotki nie uprzykrzyły się już doktorowi? Niezawodnie chce on przez jakiś czas mieć wakacye i dlatego nakłania ją do podróży.

Ciotka rozmyślała również; myślała i dumała aż dokąd łzy jej z ócz nie trysły.

Poczem poszła do komody; wiedziałem co to ma znaczyć: pigułki w zielonem pudełku zostały wyjęte — trzy — jedna po drugiej w usta włożone i ciotka rzekła słabym głosem:

— Piotrusiu!

To byłem ja. Piotr — czy to nie piękne imię? Tak rzewnie przypomina Pawła!

— Piotrusiu! — powtórzyła ciotka nieco głośniej. Biegnij natychmiat do panny Pimpernille i proś ją, żeby do mnie przyszła jak tylko może najprędzej!

Biegnąć do Pimpernille! Panna Pimpernille mieszkała przy ulicy Blaagaardskiej, my zaś przy Blankowskiej. Wszelako głos ciotki zdawał się zyskiwać na mocy w miarę jak doktór oddalał się od naszego domu. Było to dziwnem, ale fakt istniał.

— Cóż, idziesz chłopcze? — rzekła.

Zdjąłem więc czapkę wiszącą w sypialnym pokoju i — nie powiem — pobiegłem, lecz poszedłem przynajmniej.

Panna Pimpernille była kanoniczką; to znaczy: mieszkała w zakładzie urządzonym dla starych niezamożnych kobiet, który jak wiadomo leży na Blaagaarskiej ulicy.

O Pimpernille! Łzy napływały mi do oczu, gdy przypomnę sobie twoją graniastą chustkę z żółtemi kwiatami na tle pąsowem i twój pończoszkowy woreczek! Z jakiemże zajęciem przypatrywałem się owalnej tabakierce, która tam była schowaną, a której pokrywkę panienka z odkrytą szyją, lniano-żółtemi włosami i niebieskiemi, perłowego kształtu oczyma przyozdabiała! Jakże była uroczą! Tylko szczególnie w zimie żałowałem zawsze jej ramion, przykro mi było, że marznie i chętnie okryłbym był ją chustką. Ale rozwodząc się nad tabakierką, omal nie zapomniałem o jej właścicielce.

Podług otrzymanego rozkazu pobiegłem do niej i szczęśliwym trafem, gdyż był to zawsze czysty przypadek — zastałem ją w domu.

— Pimper — rzekłem, bowiem byłem leniwym chłopcem i dlatego lubiłem skrócenia — ciocia chce z tobą pomówić.

Ponieważ dziecku i pannie pić nie przystoi, jedliśmy więc «Ty a ty» placek na «Bruderschaft» wskutek czego między kolegami nazywałem ją: «Braterskim plackiem».

— Ej — Piotruś! Czy to tylko nie twój własny wymysł? Powiedzże prawdę.

Zdjęła rogowe okulary z nosa, a widząc, że nie byłem usposobiony do podobnych żartów — położyła je na stole.

— Zatem ubrać mi się potrzeba.

Ukryła się za staroświeckie łoże z perkalowemi firankami i tam uzupełniła swą tualetę, poczem poszliśmy.

Przechadzki z Blaagaardskiej na Blankowską ulicę opisywać nie będę. Damę swą w dobrem zdrowiu przyprowadziłem do ciotki. Nikt mi jej w drodze nie ukradł; nawet żaden śmiertelnik nie okazał chęci ku temu.

— Dzień dobry! panno Pimpernille!

Ciotka podniosła się z sofy z bladym uśmiechem.

— Dzień dobry! pani Hammer!

Pimpernille 'chustkę i kapelusz, które, mówiąc nawiasem zdjęła jeszcze na schodach, poruczyła mej specyalnej opiece.

Mita ukazała się z maszynką.

Mita należała do sprzętów, zdobiących nasze komnaty. Była niemą jak one. Przez cały dzień nigdy dziesięciu — co mówię! — czterech słów nie wyrzekła, a przecież umiała być zrozumiałą, zupełnie jak stary fotel ciotki, który na obydwie strony wyciągając ramiona, wołał.

— Tu!

— Tu! — mówiły błyszczące Mety policzki, gdy przyrządy do kawy ustawiła na stole, a Piotr, dobroduszne chłopię, zaczął kawę nalewać.

Podczas tego ciotka, przytknąwszy flakon do nosa, zamknęła oczy, westchnęła i oparła się o miękkie poduszki sofy.

Pimpernille naprzeciw usiadła w krześle trzcinowem z wielką skromnością. Otworzyła aksamitny woreczek, wyjęła karty i niezapomniawszy o tabakierce, którą położyła po prawej stronie, stasowała je, poczem bezpośrednio nastąpił proceder znany dobrze płci pięknej.

— Jeden — dwa — trzy! Raz — dwa — trzy! Podróż morska! — zaczęła Pimpernille. Raz! dwa! trzy! Ach! czyż to nie zaręczyny. Raz! dwa! trzy! cztery! pięć! sześć! siedem! Wesele! Kochana pani w podróży zaręczysz się i wyjdziesz jeszcze raz za mąż — tak jest! niezawodnie, karty mówią to jasno, uzupełniła z powagą wyroczni Delfickiej.

Mógłbym obszernie opisać ową scenę proroctwa, ale jak rzekłem byłem leniwym chłopcem, lubiącym wygódki i rzecz dziwna upodobanie to pozostało mi do dziś dnia. Przeto jedno tylko zaznaczę, a mianowicie, że zanim panna Pimpernille nas opuściła, ciotka postanowiła udać się w podróż nieodwołalnie.

Jakaż to radość była dla doktora Hansena!

Mieliśmy jechać do Jutlandyi do ciotki mojej. Zaiste dalekie trochę kuzynowstwo, lecz zawsze stopień tego dał się oznaczyć. Czcigodna dama zwana w kółku rodzinnem «Babunią Elzą» była właścicielką «Lwicy» to jest hotelu pomiędzy Aarhuus a Randers leżącego, który znali dobrze w okolicy — — — furmani i wieśniacy, popasający tu zmęczone konie.

Jest jasnem jak słońce, iż ciotka ani doktorowi, ani Pimpernille, ni też innym przyjaciołom nie wyjawiła godności Babuni Elzy, właścicielki «Lwicy». W jej twórczej fantazyi «Lwica» zamieniła się w małe dobra, a ogród warzywny z starą jedyną gruszą w park okazały.

Rzućmy zasłonę na przygotowania do podróży, na loki, pomadę, mydła i — ale dość o tem.

Ja także miałem swój dział; wszelako realniejszego rodzaju.

W dowód wdzięczności Pimpernille pomagająca nam przy pakowaniu dostała przenoszone loki od ciotki. Wprawdzie te były czarne a Pimpernille przeto zmieniła włosy.

Na rogatce zgromadzili się nasi przyjaciele, a ponieważ wyjeżdżaliśmy w niedzielę samą, przyszli wszyscy moi koledzy, ani jednego nie brakło, wszyscy z 5-ciu klas, powiewali czapkami z okrzykiem: Hurra! ujrzawszy moją żółtą czapeczkę.

— Hurra! — odpowiedziałem, podnosząc się w powozie. «Hurra chłopcy!»

Ciotka z początku była zamyśloną, potem rozpłakała się z wzruszenia i dumy!

Nastąpiło pożegnanie. Ciotka przechodziła z jednego objęcia w drugie, w końcu chwiejnym krokiem zeszła do czółna, które przysłano, aby podróżnych przyprowadzić na pokład «Experymentu», tj. statku mającego dowieść nas do brzegów Jutlandyi, a względnie do «Babuni Elzy» pod «Lwicę».

Po kilku dniach stanęliśmy w Jutlandyi. Pożegnawszy uprzejmych towarzyszy podróży, przygotowywaliśmy się do ostatecznego celu, teraz przychodzi najgorsze, do dotarcia pod «Lwicę».

— Gdzieby tu można wynająć powóz? — spytała ciotka kapitana «Experymentu», bowiem «Lwica» jak rzeczono leżała pomiędzy Aarhuus a Randers, a ponieważ wylądowaliśmy w Randers, dwie mile jeszcze mieliśmy do przybycia.

Kapitan radził wziąć pocztę.

Udaliśmy się w tym kierunku, lecz ciotka skoro tylko stanęła na twardym gruncie, uczuła znowu symptomata zwykłej choroby, na szczęście jednak nie miała czasu się poddawać.

Przed pocztą zastaliśmy jakiegoś pana w średnim wieku, wyniosłej postawy, należącego widocznie do wyższej klasy, który zamawiając powóz dla siebie, gdy usłyszał, że jedziemy do miejscowości między Aarhuus a Randers położonej, zaproponował wspólną przejażdżkę, gdyż właśnie droga mu wypadała tamtędy.

Ciotka wesoło przyjęła propozycyą. Purpurowa barwa okryła jej policzki, a oczy mimowoli szukały — nie! nie szukały wcale, lecz padały mimowoli na palec prawej ręki nieznajomego.

Palec nie miał ozdoby, nie było na nim pierścienia.

Ciotka westchnęła; kamień spadł jej z serca. Prawdopodobnie przypomniała sobie przyjaciółkę z Blaagardzkiej ulicy.

— Jakże nazywa się miejscowość, gdzie pani udać się zamyślasz? — pytał nieznajomy, chcąc czas w którym zaprzęgano konie zużytkować na poznanie towarzyszów podróży.

Otworzyłem już usta, gdyż niekiedy byłem bardzo grzecznym i zacząłem: «Lwi»

Ale ciotka wcisnęła mi: «ca» w gardło czemprędzej ruchem błyskawicznym, kładąc dłoń na wargi i rzekła:

— Nie zapominaj Piotrusiu milczeć, gdy cię nikt nie pyta. Chcę udać się do... do... do.

Nieznajomy ukrył uśmiech pod wąsem w czasie, gdy ciotka przemyśliwała nad nazwą zakwestyonowanej miejscowości.

Że to nie była «Lwica» łatwo pojąć.

Podczas tego dwóch mężczyzn przeszło koło nas. Jeden z nich mówił:

— Jutro muszę być w Skjormukegaard u sędziego Fidsela.

Przykre naprężenie znikło z oblicza ciotki, zdawało się, że jakieś jasne światło ujrzała.

— Skjormunkegaard — rzekła, westchnąwszy z pewną ulgą

— Skjormenkegaard? Hm — Zdarza się to wybornie, to właśnie cel mojej podróży. Ale otóż i powóz!

Pochwycił drżącą dłoń ciotki, żeby pomódz jej do wsiadania. Jakże była bladą biedaczka! Drżała całem ciałem, bo też w piękny wprowadziła nas ambaras! Cóż teraz poczniemy?

Powóz ruszył; coraz bliżej i bliżej przybywaliśmy do nieszczęsnego celu.

— Cóż poczniemy? — zapytywałem się w duchu. «Cóż poczniemy?» również pytały blade policzki i posiniałe wargi mojej ciotki.

Powinniśmy byli iść prawą drogą, to najłatwiej ale ludzie zwykle wyszukują biedy w wszelki możliwy sposób.

— A zatem Tidsel jest przyjacielem pani? — spytał nieznajomy, od niechcenia, nie przeczuwając mąk naszych.

— Nie — a! tak jest — odparła ciotka, z dziwną wstrzemięźliwością.

— Mów prawdę cjociu!—szepnąłem, potrącając ją łokciem.

— Czyś oszalał? Bądź cicho! — wyrzekła, oddając potrącenie z procentem.

— Znakomita rodzina! — ciągnął nieznajomy, zdając się nie nie uważać małego intermezzo. — Cóż pani sądzi o sędzinie? Nie jest że to wpaniała dama?

— W samej rzeczy! — potwierdziła ciotka.

— A mała Klaudyna jakże się pani podoba?

— Bardzo jestto śliczne dzieciątko!

— Dzieciątko? Ona? Hm — prawda—wszyscyśmy dziećmi Bożemi. Ale zdaje mi się jednak za wiele pięćdziesięcioletnią osobę nazywać dzieciątkiem. A cóż powiesz pani o Janie Piotrze! ha! ha! ha! Jan Piotr, ten łobuz!

— Nic złego — nic złego. Ciotce zdawało się, że trzeba jeszcze coś dodać, więc rzekła: same korzystne rzeczy!

— Tak? No proszę! po raz pierwszy zdarzyło mi się słyszeć, że Jan Piotr komuś się podoba — ha! ha! ha! Gdzież pani poznałaś sądziego Fidsel?., jeżeli spytać wolno.

— Ja — ja?

Ciotka dostała silnego napadu kaszlu, a ja litości, byłem przecież jedynym męzkim obrońcą, jakiego miała na świecie.

— Dobrze — pomyślałem, dowie się o tem. Tak jest źle, że gorzej już być nie może. Trochę mniej lub więcej kłamstwa, gdy się go rozpoczęło sprawy nie zgubi.

— Tidsel — rzekłem, dodawszy sobie w powyższy sposób odwagi, jest dalekim krewnym ciotki.

— Proszę! — zauważał nieznajomy, chwytając się za brodę. Czy mogę wiedzieć nazwisko pani? Ponieważ Tidsel jest moim przyjacielem, będzie to dla mnie prawdziwą przyjemnością poznać jego kuzynkę.

— Moje nazwisko?

Ciotka spojrzała na mnie pytająco; gdyż jak wszystkie kobiety złożyła władzę w silniejsze dłonie, a że byłem silniejszym miała dowód przed chwilą.

— Pani Hammer — rzekłem z ukłonem.

— Hammer? Pani Hammer? Hammer? Nieznajomy znowu pochwycił się za brodę.—Hm—tego nazwiska nigdy nie słyszałem.

—Jakże się pani podoba siostra sędziego? Nie jest-że cudowną?

— Cudowną? Tak jest istotnie.

Biedna ciotka powtórnie dostała silnego kaszlu.

— Słuchaj Klaus! Gdy przybędziemy pod «Lwicę» zatrzymaj się!.. — zawołał nieznajomy do pocztyliona. Hm — tak?

— Jak dawno widziałaś się pani z kuzynem?

— Przed sześciu laty!

— Roztropnego masz pani synka...

— Przepraszam pana — rzekła ciotka, to mój siostrzeniec.

— Siostrzeniec czy syn — wtrącił nieznajomy — pozostanie roztropnym chłopcem w każdym razie, umie wybornie odpowiadać. Do kroćset! Klausie! Czyż to już «Lwica?» Zajedź w podwórze, chcę z matką Elzą pomówić.

O! gdyby doktór Hansen, gdyby wszyscy przyjaciele i przyjaciółki nasz wjazd w obszerne podwórze «Lwicy» widzieli! Te lśniące mury «pańskiej siedziby», te groźne piramidy stadami kur i kaczek zaludnione! Tę twarz czerwoną za małemi zielonemi szybkami!

— Hau! hau! hau! szczekał duży pies uwiązany na łańcu-

chu, biegając w około swej budy, dopóki nie wyszedł na dach tejże. Poznałem go z opisania. Był to Rinaldo.

Wreszcie ukazała się gospodyni podparta w boki i ją także poznałem, lecz ona na szczęście miała zmysł spostrzegawczy mniej rozwinięty.

— Dzień dobry! — zawołał nieznajomy, wyskakując z powozu.

To było sygnałem dla ciotki.

— Piotrusiu! — rzekła, musimy wysiąść, musimy ukryć się natychmiast.

I wykonała postanowienie; ja chciałem pójść za jej przykładem; pragnąłem schować się za babki Elzy czerwono kratkowaną spódnicę, gdy wtem nieznajomy powrócił.

Uprzejmie wsadził nas do powozu.

— Już niezadługo będziemy w Skjormunkegaard — zawołał.

A ciotka? Na pół omdlała sparła się o poduszki, z wyrazem twarzy, który mówił:

— Jestem zgubioną! Postawiłam wszystko na kartę, lecz poddaję się losowi.

Westchnęła i zamknęła powieki, żeby strasznej rzeczywistości nie widzieć.

Obraz ten dodał mi odwagi, jeszcze raz chciałem ją ratować.

— Muszę prosić, łaskawy panie — rzekłem ile możności najgłośniej — muszę prosić — o trochę wypoczynku dla ciotki. Tak szybka jazda szkodzi jej niezmiernie, nie jest do niej przyzwyczajoną, słabą się czuje. W żaden sposób dalej jechać nie może; chciałaby tu, w tej oberży do jutra pozostać. Muszę prosić pana — istotnie muszę prosić — każ pan łaskawie przystanąć.

— O! tak czuję się bardzo słabą, słabą nadzwyczaj, nie mogę znosić powozowej jazdy—szeptała ciotka, zebrawszy wszystkie siły. Ale pocztylion pędził coraz prędzej, a nieznajomy rzekł:

— Pod żadnym warunkiem na to bym nie przystał! Jakto? Więc kuzynka sędziego Tidsel miałażby pod «Lwicą» nocować? Nie! nigdy! Niezadługo będziemy w Skjormunkegaar. Widzisz pani te białe mury na lewo? To cel naszej podróży. Czyż mógłbym pozwolić, żeby pani Hammer zatrzymała się pod «Lwicą» choć chwilkę, skoro posiadłość jej kuzyna o strzał zaledwie jest oddaloną? Uchowaj Boże! Jedź pocztylionie!

Spojrzał zyzem na biedną cierpiącą ciotkę, a ja uczułem się dziwnie wzruszony, nie wiem co dałbym był za to, żeby módz ją wyzwolić z męczącej sytuacyi. Biedaczka! po raz pierwszy w życiu cierpiała naprawdę.

Winienem jej tu pewne objaśnienie. Była cośkolwiek dziwaczką, miała «nerwy», kaprysy i inne oryginalności, ale z jakąż miłością troszczyła się o moje potrzeby, z jakiemże wylaniem zastąpiła mi rodziców! Przeto gdy śmieję się serdecznie, wspomniawszy szczególne owego dnia przygody, zaraz łzy napływają mi do oczu, które niejedno dobrodziejstwo ciotki sierocie wyświadczone, wyciska mężczyźnie mimowoli. Ale wtedy byłem swawolnym chłopcem.

— Jedź pocztylionie! — wołał nieznajomy.

Przy każdem napomnieniu ciotka podskakiwała do góry, a ja nogami oparłem się tak silnie o dno powozu, jakbym manewrem podobnym bieg tegoż mógł zastanowić.

Niestety! «tur!» «tur!» »tur!» ozwało się po bruku.

Pocztylion trąbił i zajechaliśmy przed duże zielono pomalowane drzwi z mosiężną rączką od dzwonka.

Niepodobieństwem jest opisać nieszczęsny, omdlewający wygląd ciotki w tej chwili; ja sam najchętniej byłbym wlazł pod siedzenie powozu, ale nieznajomy miał mnie na oku. Zręcznie skoczył na ziemię, ciotce obezwładnionej strachem podał z galanteryą ramię i zaprowadził ją do przedpokoju. Tu blada i drżąca stanęła jak w paroksyzmie febry, wodząc rozpacznie wzrokiem od jednych drzwi do drugich w oczekiwaniu, iż te otworzą się i wszyscy Jan Piotr, Klaudyna i inni ukażą się ku jej zawstydzeniu.

Ja robiłem to samo, niemy i blady spoglądałem po wszystkich drzwiach, ale te pozostały zamknięte.

— Proszę, wejdź pani dalej! — rzekł nieznajomy.

Usłuchaliśmy w milczeniu.

Usłuchaliśmy, lecz Bóg wie tylko jak nas tam nogi zaniosły, gdyż co do mnie doznawałem uczucia zupełnego otrętwienia.

— Usiądź pani — rzekł nieznajomy — wskazując pąsową aksamitną kanapę, którą ostatnie promienie słońca drżącem światełkiem zasypywały. Przykro być posłem Hiobowej wieści, ale powiedziano mi właśnie, że sędzia Tidsel z całą rodziną wczoraj rano na ośm dni wyjechał. Wprawdzie jestem tu jak w domu i co do kufrów i pudełek pani wydałem odpowiednie rozkazy, niemniej kuzynie gospodarza muszę wyrazić moje ubolewanie. Zdaje mi się, że apartamenta na pierwszem piętrze po lewej stronie schodów zupełnie panią zadowolą, zwykle zamieszkują je krewni Tidsela, gdy przybędą w odwiedziny.

Twarz ciotki ożywiła się cudownie. Ciężar spadł jej z piersi. Ośm dni, cóż za szczęśliwość!

— Pani nigdy tu jeszcze nie byłaś? — spytał nieznajomy.

— Nie — odparła ciotka z większą pewnością w głosie, a ja tymczasem szerokiemi krokami zaczynałem oswajać się z nowem położeniem kuzyna gospodarza, chodziłem po pokoju, okiem znawcy kosztowne malowidła na ścianie przeglądając.

— Pani pozwoli więc przez te ośm dni nieobecności kuzyna zająć mi jego miejsce, ale najpierw muszę się przedstawić jako radca Willing, a potem o niektóre wygody szanownej kuzynki przyjaciela mieć staranie? Spoczynek jest tu najpotrzebniejszym, wyglądasz pani bardzo mizernie, nader musisz być znużoną.

Zadzwonił.

Zgrabna dziewczyna weszła do pokoju.

— Zaprowadź panią Hammer i jej siostrzeńca do gościnnych apartamentów i postaraj się o jaki posiłek — rzekł do dziewczyny. Dobranoc! — zwrócił się do nas. Jutro mam nadzieję zobaczyć panią w najlepszem zdrowiu. Bardzo się cieszę z zrobienia tak miłej znajomości, ale pani potrzebujesz spoczynku. Dobranoc!

Lekki uśmiech przemknął mu się po ustach, a my z ciotką oddaliliśmy się jak można było najprędzej.

Skoro tylko znaleźliśmy się sami w pomieszkaniu, które składało się z dwóch przyległych pokoi, ciotka zamknęła drzwi na klucz i przekonawszy się, że nikt nie słyszy: «Piotrusiu! Piotrusiu! — zawołała. Ja tego nie przeżyję! To moja śmierć!»

— Już zapóźno! — odparłem zgryźliwie. Trzeba było pierwej nad tem pomyśleć.

— Piotrusiu! tej nocy musimy uciec.

— Uciec? zostawiając wszystkie nasze rzeczy? Bo wszakże tych wlec z sobą nie możemy.

— A cóż zrobić? Przecież wiesz, że na przybycie familii oczekiwać nam trudno. O! Boże! Jakże jestem nieszczęśliwą! Żeby choć była tu Pimpernille?

— Pimpernille! Jeszcze czego nie stało! — zauważyłem, mając teraz z powodu kilku rad danych ciotce wielkie o sobie wyobrażenie.

— Ona to winna wszystkiemu — ona! nikt inny. Gdyby była nic nie przepowiadała, niczemu bylibyśmy nie wierzyli.....

— Słuchaj Piotrusiu! trafiłbyś pod «Lwicę?»

— Odrazu; ale nie zdaje mi się stosownem, pędzić tam na złamanie karku—mówiłem śmiało, wcale sobie nie życząc, ażeby awantury nasze skończyły się na «Lwicy». Mógłby jeszcze kto sądzić, że jesteśmy złodziejami. Pomyśl cioculu, gdyby tak nas

schwytano i uwięziono! Bardzo dziękuję! Ośm dni mamy przed sobą; to dość czasu. W ośmiu dniach cóż bo nie można zrobić! Jutro zaraz powiedz cіociu Willingowi, że musisz wracać do Kopenhagi, że tylko cztery dni wolno ci tu zabawić, że...

— Niech cię Bóg błogosławi Piotrusiu za twoje rady.

Ciotka rzuciła mi się na szyję, płacząc łzami radości.

— Tak zrobię tj. nad cztery dni dłużej tu nie zostanę za nic w świecie.

Ale jeżli oni przed czterema dniami powrócą? Czyż nie byłoby lepiej pójść teraz rzeczy nasze pozostawiając na pastwę?

— Nie — to nie uchodzi — rzekłem stanowczo, kilką dni musimy tu pozostać. Trzeba coś także 'zrobić dla uratowania honoru; cóżby sobie o nas radca Willing pomyślał? Cóżby....

— Masz słuszność — przerwała ciotka, a uśmiech pełen nadziei zaigrał na jej ustach. Masz słuszność — kilka dni musimy pozostać.

Nazajutrz słońce złotym promieniem zajrzało do pokoju.

— Dzień dobry! — zawołała ciotka.

— Dzień dobry! — odpowiedziałem, wyskakując z łóżka.

Cóż za wspaniałą miałem sypialnię! Byłbym chciał tu żyć i umierać; całkiem co innego niż pod «Lwicą», a jednak czułem się jak w domu.

Ciotka weszła w kompletnym stroju.

— Dzień dobry Piotrusiu! — rzekła — czy suknia moja będzie stosowną? Obróciła się wokoło.

Zanim mogłem odpowiedzieć, zapukano do drzwi.

Ciotka otwarła.

— Przyszłam zapytać czy państwo zejdą na dół lub też tu herbatę przynieść każą? — rzekła znana nam dziewczyna.

Ciotka spojrzała na mnie.

— Cóż myślisz Piotrusiu?

— Dziękuję — zejdziemy na dół — odparłem z lekkiem skinieniem głowy.

— Piotrusiu! — zagaiła ciotka, skoro zostaliśmy sami, nie mam odwagi zejść na dół. Pomyśl tylko, gdyby oni przybyli właśnie podczas herbaty!

— Oni nie przybędą — odpowiedziałem stanowczo, biorąc za klamkę.

— Dzień dobry! Jakże pani spała po podróży — spyta radca Willing w sali jadalnej.

— Dziękuję, bardzo dobrze — odparła ciotka.

— Wybornie! — dodałem z własnej inicyatywy.

— Możebyś pani raczyła w nieobecności gospodyni zająć jej miejsce?

«Mówiąc prawdę jestem także dalekim krewnym sędziego, z czego wypływa, że tak swobodnie się tu rozrządzam i że droga kuzynka musi nieodwołalnie robić dziś honory domu.

Ciotka z purpurowym rumieńcem zasiadła przed zastawą herbacianą.

Radca zajął miejsce naprzeciw, a ja ulokowałem się obok wspaniałego świeżo upieczonego placka.

— Jakże dziś czas spędzimy? — spytał radca, miałbym ochotę zaproponować pani małą wycieczkę w okolicę?

— Doskonale! — zawołała ciotka, zapominając o swej krytycznej sytuacyi. Gdzież pojedziemy?

— Gdzie? Hm — hm — patrzał z uśmiechem na talerz.

— Sądzę, że przyjacielowi memu będzie przyjemnie, gdy zapoznam panią z jego najbliższą rodziną. Możemy zacząć naprzykład od brata jego żony, Michelsena. Musiałaś pani o nim słyszeć. Rzadki człowiek, przynoszący zaszczyt całej rodzinie.

— O! tak! znam go dobrze — rzekła ciotka, drżąc od strachu (spojrzałem na nią, czerwieniła się i bladła) ale zapewniam pana — ciągnęła dalej, nie myśl, że jestem kapryśną... wszelako tak dalece zależę od mego zdrowia..... moich nerwów..... że nie mogę nigdy powiedzieć pojadę-li za godzinę lub nie..... Do tego nie mogę tu dłużej nad cztery dni pozostać — nieprawdaż Piotrusiu?

Ciotka zupełnie zbiła się z toru; bowiem usłyszała właśnie z przerażającą dokładnością turkot powozu przed domem.

— Nieprawdaż Piotrusiu? — powtórzyła, otworzywszy szeroko oczy w kierunku podejrzanego hałasu.

— Wiesz o tem najlepiej — burknąłem otrętwiały z przestrachu, gdyż o nieba! elegancki powóz ukazał się przez okno.

— Nie lękaj się pani — zauważał radca, biorąc duży kawał placka, to Tidsela ekwipaż.

— Tidsela! Ciotka podskoczyła na krześle.

— Ale — radca obtarł sobie usta serwetą — próżny.

Ciotka wycieńczona, sparła się o poręcze.

— Kazałem zaprządz, żebyśmy zaraz po śniadaniu jechać mogli. Jednak gdybyś pani wolała w domu pozostać, zastosuję się do tego. Goście powinni mieć wolność zupełną — mówi nasz kuzyn, sędzia Tidsel, z czem i ja się zgadzam. Ależ kuzynko kochana, pani wcale nic nie jadłaś!

Spojrzał na mnie, który o! wstydzie! prawie pół placka spożyłem, wszelako na usprawiedliwienie swoje dodać muszę, że jadłem go tylko z przestrachu.

— Mówiłaś pani coś o odjeździe swoim — ciągnął, biorąc znów placka kawałek, lecz na to nie pozwolę, nie, droga kuzynko, daruj tę poufałość, przed powrotem rodziny nie możesz nas opuścić.

— Niestety! jest niemożebnem dla mnie czekać tak długo; nieprawdaż Piotrusiu? Ty wiesz to najlepiej!

— O! tak! — odparłem, omal się nie udławiwszy, (gdyż z przestrachu znowu dobrałem się do placka) to niemożebne, ponieważ jeszcze innego kuzyna musimy odwiędzić.

— Innego? Hm! Musisz pani dużo krewnych mieć w tej okolicy!

Podkręcił wąsa, a ciotka zmieszana moją śmiałością, odpowiedziała:

— O! tak! tak!

— Mogęż spytać o nazwisko kuzyna?

— Piotrusiu! — szepnęła ciotka.

— Klausen! — odparłem żywo.

— Klausen? Ej! Ej! czy to nie radca sądowy!

— Tak — tak — potwierdziła przerażona ciotka.

Jednakże tego nie przewidziałem i: «nie» wymknęło mi się z ust mimowoli.

— Tak i nie? Hm — Więc jest radcą i nie jest? Jak to pogodzić? ale na świecie niema nic niepodobnego! Lecz cóż to widzę! ho! ho! ho! Czyż to nie Tidselowie przyjechali? Rzeczywiście to oni!

Druzgocące spojrzenie rzucił mnie i ciotce, ale pocóż wysilał się? My bez tego byliśmy zdruzgotani.

Ciotka opadła z sił, ja zaś przeciwnie z taką mocą postawiłem dzbanuszek od śmietanki na stole, że z trzech nóżek dwie prysło odrazu.

— Ale nie! Jakto można się pomylić! — zawołał wreszcie radca, powóz przejechał tylko. Możebyśmy kochana kuzynko trochę wyszli na słońce? Świeże powietrze orzeźwi panią, trzeba korzystać z pogody. Lecz lepiej weźmy powóz, w przejeździe możemy wstąpić do Michelsena; jeżeli sobie pani życzysz.

Chrząknął i wyszedł jakby miał kazać zaprzęgać.

— Piotrusiu! cotka wzniosła ręce do nieba P — iotrusiu! — opuściła je napowrót.

— Sądzę — rzekłem, że najlepiej zrobimy, uchodząc ztąd w tej chwili.

— Niech cię Bóg błogostawi Piotrusiu! Tego żądam tylko; tego pragnę. Chodź! Chodź!

Wejście zaimprowizowanego kuzyna przerwało entuzyazm ciotki.

— Zdarza się wyśmienicie! — wołał z daleka. Wczoraj byłem zwiastunem hiobowej wieści; dziś neutralizuję ją, zawiadamiając panią o przybyciu konnego posłańca z doniesieniem, że najdalej za godzinę Tidselowie tu będą. Cóż pani na to? Nie jestże to uśmiech szczodrobliwego losu? Można by sądzić, że Tidsel przeczuwał szczęście jakie go czeka. Ale z naszej przejażdżki już nic nie będzie, raczysz wybaczyć kuzynko, nieprawdaż? Muszę udać się naprzeciw przyjaciela.

— Bogu dzięki! — wyszeptała ciotka.

— Co? Czy pani życzysz sobie mnie towarzyszyć?

— Nie — nie. Jedź pan w imię Boże!

Wkrótce ku wielkiej naszej radości radca wyjechał z podwórza. Ciotka dziękczynnie wzniosła ręce do nieba z wejrzeniem, którego opisać niepodobna, poczem, wstydzę się powiedzieć, wysunęliśmy się cichutko do gościnnych pokoi. Tu przywdzialiśmy suknie podróżne, spakowali dwa małe tłumoczki z najlepszemi rzeczami i tęsknem wzrokiem obrzucili nasze kufry i pudełka. Ciotka nawet otarła kilka łez w skrytości, bowiem nie łatwo rozłączyć się z tem, co nam do serca przylgnęło. Bez szmeru jak przybyliśmy, zeszliśmy na dół każde z tłumoczkiem w ręku; ostrożnie, oglądając się w około pożegnaliśmy zielone drzwi z mosiężną rączką od dzwonka, podwórze w całej długości i dzięki Bogu stanęliśmy na gościńcu. Przed nami bieliła się droga do «Lwicy», której zaparliśmy się w karygodnej swawoli. «Lwica» obok której z głęboką tęsknotą i łzami w oczach przekradaliśmy się jak zbrodniarze. Jakże chętnie byłbym wszedł w jej wrota szerokie, z jakąś roskoszą poznał babunię Elzę i rzucił się w jej objęcie! Ale nie, musimy iść naprzód! ciągle naprzód! niema dla nas spoczynku na zielonem wybrzeżu Jutlandyi!

Uszliśmy dobrą milę i «Lwica» dalego już pozostała za nami, gdy ciotka wyczerpana poruszeniem i podróżą chciała odpocząć przy rowie. Usiedliśmy więc, złożywszy nasze węzełki i rozpoczęli gawędę ze starym wieśniakiem.

— Znacie sędziego Tidsel? — spytałem.

— Jużci — znam dobrze.

— A jego żonę?

— Żonę? on niema żony.

— Niema?

— Nie, bo nieżonaty.

— Nieżonaty? słyszysz ciociu!

— Nie — to wesoły kawaler! ha! ha! ha! ale otóż jedzie.

W istocie! O! nieba! W tej chwili radca Willing przemknął koło nas. Nieznacznie wysunął się z polnej drożyny i przejechał jakby nas nie uważał, choć poszedłbym o zakład, iż jedynie po to przybył, żeby nas jeszcze raz zobaczyć. Gdy już był niedaleko, spiął konia ostrogą i poleciał galopem, by strzała.

— Chwała Bogu! Widzieliśmy go wtedy po raz ostatni lecz ciotce zrobiło się przy tej okazyi niedobrze. Mój flakon! — zawołała, a ja musiałem natrzeć jej skronie zawartością tego.

— Tam do licha! Jużeś tu znowu? — wykrzyknął doktór Hansen, patrząc jak na upiora, gdy w drzwiach swoich mnie spotkał. Cóż u djabła ma to oznaczać?

— Ciocia chora! — odpowiedziałem bez tchu, gdyż biegłem całą drogę. Musisz pan zaraz pójść zemną!

Biedna ciotka była istotnie chorą! Z natężenia i strachu dostała gwałtownej gorączki, kuzynostwo z Tidselem drogo musiała opłacić.

Pimpernille pielęgnowała ją starannie. Doktór Hansen, oddajmy sprawiedliwość komu należy, jak mógł najlepiej robił swoje, a ja jeżeli mówić mi wypada, byłem dobrym chłopcem.

Powoli ciotka przychodziła do siebie; wszelako podróży do Jutlandyi nigdy przeboleć nie mogła. Doktor Hansen dziwił się niemało, że powietrze morskie tak niekorzystny wpływ wywarło na jej zdrowie; żałował formalnie swej poprzedniej ordynacyi, dlatego był niezwykle cierpliwy i pobłażliwy dla ciotki.

— Piotrusiu! — rzekła ciotka, gdy raz wieczorem byliśmy sami, nigdy już nie chcę podróżować.

— Nie — przyznałem znacząco, to najroztropniej.

W miesiąc po powrocie z pamiętnej wycieczki do Jutlandyi, spotkała nas radość pomieszana ze smutkiem, oto: dostaliśmy kartę pocztową na kufer i inne pudełka.

Byli to nasi starzy przyjaciele, których w domu Tidsela porzuciliśmy heroicznie.

— Bogu dzięki! — zawołała ciotka ze łzami w oczach. Ale Piotrusiu, zamyśliła się głęboko, teraz on wie gdzie mieszkamy.

Wszelako i ta wsławiona wycieczka do Jutlandyi nie była bez korzyści; mianowicie: ciotka nie czuła więcej potrzeby chorować, nigdy nie mówiła o znakomitych krewnych i ich posiadłościach; rzadko używała flakonu z solami i nic a nic nie wierzyła w proroctwa Pimpernille.

ECHA.

W sprawie budowy pomnika dla Mickiewicza. Koncert „byłych artystów.“

Sprawa budowy pomnika dla Mickiewicza w tej fazie, w jakiej ją postawiły ostatnie decyzye komitetu wywołuje rozmaite głosy naszej prasy; w zeszłym numerze podaliśmy zdanie *Prawdy*, dziś przytaczamy wyjątek z obszerniejszego artykułu p. Ant. Sygietyńskiego w „Wędrowcu“.

„Smieszność idzie po stopniach a dziwactwo siedzi na tronie. Pominąwszy już sam pomysł pomnika, który byłby z tyłu płaski, gładki i pusty jak ściana, jeżeli komisya nie poleci mistrzowi wymalować na niej jakiejś ilustracyi historyczno-alegorycznej, lub nie każe przybić szaragów do wieszania płaszczów noszonych na obydwóch ramionach, to sylwetka tronu druidycznego, ostrą liniją poręczy rysującego się na powietrzu, jest niemożliwą, zwłaszcza w tej formie, że nad nią, w środku, sterczy głowa Mickiewicza. Przy jakiej takiej fantazyi nie trudno wyobrazić sobie, że tak musi wyglądać deska gilotyny z przywiązanym do niej delikwentem, w postawie pionowej, zanim mu głowę odetną, tem więcej, iż Mickiewicz jest nagi, owinięty w prześcieradło, które mu zakrywa tylko jedno ramię, brzuch i nogi do stóp.

Że geniusz przedstawiony w szkicu, poniżej, jest nagi, w tem niema nic dziwnego. Geniusz powinien tu nawet być nagi, goły, *golissime*, ponieważ jest symbolem nietylko wielkości Mickiewicza, ale całej zarazem sztuki polskiej, która oprócz skrzydeł nic więcej niema. Ale na co Mickiewicz jest nagi?

Rzeźba dzisiejsza, ubierając bohaterów klasycznych w surdut i spodnie, których tamci nie nosili, popełniłaby taki sam błąd, jaki popełnia rozbierając do naga bohaterów dzisiejszych. Aleksander Wielki lub Sofokles tak samo są śmieszni w ubraniu na modę dzisiejszą, jak Poniatowski naguteńki w pomniku Thorwaldsena lub Mickiewicz napół nagi w projekcie Matejki, ponieważ bohaterowie i poeci starożytni występowali w życiu nago, a ludzie dzisiejsi nawet do kąpieli chodzą w trykotach. Zresztą najplastyczniejszym symbolem ducha Mickiewicza jest Mickiewicz sam, i rzeźbiarz nie może wyrazić go lepiej, jak pokazując takim jakim był, podobnym od stóp do głowy, prawdziwym, i tylko artystycznie pojętym, w postawie stojącej czy siedzącej, jak to

jemu samemu zresztą się podoba, bez oglądania się na warunek konkursu pomyślanego przez ludzi artystycznie wcale nieprzygotowanych.

„A przytem Mickiewicz w szkicu Matejki, jak go fotografija rozpowszechniła, niema tej szlachetnej, spokojnej postawy, którą odznaczał się w życiu. Z rozczochranemi włosami, z rękami połamanemi i pokrzywionemi, z palcami nóg konwulsyjnie wpijającemi się w kamień, z mięśniami silnie nabrzmiałemi, ze spojrzeniem błędnem, mógłby o wiele właściwiej wyrażać człowieka, który pierwszy pozwolił Pasteur'owi zaszczepić sobie jad wścieklizny, niż łagodnego twórcę *Pana Tadeusza*.

„Po za myślą główną, to jest po za wyrazem Mickiewicza, który jest fałszywy, oryginalnie fałszywy, genialnie fałszywy, wszystko odznacza się banalnością pomysłu i kształtu.

„Przyszłość“, ta kobieta, niby zasłuchana, a w rzeczywistości, w plastyce, wytrząsająca sobie tylko włosy nad lampką rzymską, nic nie wyraża i jest niezdarnie przyczepiona do pomnika.

„Geniusz“ mógłby być dobry, gdyby był dobrze wymodelowany: jest to los wszystkich pomysłów zużytych, które przy porządnem opracowaniu technicznem żadnej harmonii nie psują, tak samo jak ludzie płytkiego umysłu, a dobrze wychowani, w każdem towarzystwie umieją znaleść się na swojem miejscu.

Dwie postacie, tyłem do siebie obrócone, złączone w dartego orła, które mają przedstawiać Niemen i Wilię, są alegoryą pomyślaną nieszczęśliwie. Egipt mógł być wyrażony przez alegoryą Nilu, z którego i przez który żyje, lecz alegorya Niemna i Wilii nie może wyrażać Mickiewicza, tak samo jak Wisła Matejki. Te alegorye lepiej byłoby zostawić do przyszłego pomnika dla inżyniera, który rzeki nasze ureguluje i połączy kanałami, tem bardziej że sam Matejko nie uważa „wykonania ich za konieczne.“

„Kotwica“ więcej już dziś znana jest jako szyld yacht-klubu, niż jako godło nadziei.

„Sowa“ mogłaby w XIX wieku przestać być symbolem mądrości, i choćby nawet wyrażała jasno umysł bystry Mickiewicza, to na pomniku znajdować się nie powinna, gdyż do ornamentyki wprowadza jeszcze raz pierze. Sześć par skrzydeł to zawiele na pomnik dla człowieka, który ornitologiem z profesyi nie był.

„I pomnik tak pomyślany stanąć może. Komisya, złożona z urzędników administracyjnych i hrabiów-protektorów, nie z lepszym krytycyzmem osądzi wykonanie pomysłu, niż komitet osądził sam pomysł, gdyż „najpiękniejsza panna w świecie nie może dać więcej jak ma“, a komitet zażądał od komisyi tego właśnie, czego ona niema: sądu.

„Wyborna ilustracya naszych stosunków artystycznych: komitet złożony z *dyletantów* wysadza komisyę *niespecyalistów* do sądzenia *rzeźby* wykonanej przez *malarza*. To czyste *Consilium Facultatis* z komedyi“.

*

* *

W „Tygodniku illustrowanym“ zabiera głos Józef Ignacy Kraszewski w następujących słowach:

„Po owym hałasie, jaki wywołano, nie bez słuszności, gdy rezultat konkursu stał się powszechnie wiadomym, zapanowały cisza i zadowolenie ogólne. Wszystko się skończyło. Mistrz pochwycił sprawę w swoje dłonie, a ponieważ jest genialnym, wykona dzieło... mistrzowskie. Jestem daleki od zaprzeczenia geniuszu Matejce, ale to nie geniusz uniwersalny, a najlepszy tego dowód daje opis jego projektu. Wszystkie te alegorye, te grupy, te emblematy zużyte i banalne, jak sowa i kotwica, te figury splątane — nie wychodzą po za granicę pojęć artystycznych wieku XVIII i wróżą pomnik, który jako dzieło sztuki, choćby wykonane przez znakomitych rzeźbiarzy, pięknem być nie może. To obraz, jeżeli chcecie, ale nie pomnik, wspaniały prostotą i w dobrym smaku. Przypomina to owe machiny w Wiedniu i w Salzburgu, w których N. Panna, Ś. Trójca, aniołowie i święci wykuci z kamienia składają się na barok niesmaczny. W r. 1885 budować podobną machinę, z sową i kotwicą, z alegoryami, które wymagają objaśnień p. M. Gorzkowskiego, aby były zrozumiane — na to trzeba mieć wiele odwagi. A nadto dochodzą nas wieści, że to wszystko ma być patryotycznie odlane z brązu w Krakowie, gdzie nic podobnego dotąd nie robiono — a to już ryzyko ogromne...

„Nie rozpaczamy jednak. Komitet, komisya, ci wreszcie, co będą tu w swojem prawie, zbadają niezawodnie z całą sumiennością pomysł i efekt projektu, zanim on przyoblecze się w brąz. Żyjemy przy końcu XIX stulecia i nie tak daleko od Europy, abyśmy nie mieli wiedzieć, jakie stanowisko zajmuje spółczesna sztuka. Pomnik taki, jakiego żąda ów projekt, ściągałby niezawodnie tłumy ciekawych do Krakowa, ale nie przyniósłby zaszczytu ani naszemu gustowi, ani naszej sztuce i artystom.

„W tej chwili sprawa pomnika wydaje mi się tak samo niezdecydowaną, jak poprzednio, bo nie mogę uwierzyć, aby na zasadzie takiego projektu można było rzecz wykonać. Mam odwagę wyznać to, bo mi tak nakazuje sumienie.“

*

* *

W środę dnia 20 Maja odbył się w sali hotelu Saskiego niezmiernie ciekawy i oryginalny koncert. Nie dlatego go tak nazywamy, że w nim brali udział pp.: Adamowski, Bukowski, Ostrowski i Singer. Niema w tem nic oryginalnego, niema też nic w tem, że na koncercie oddeklamowano mnóstwo poezyj Asnyka, Bałuckiego, Czerwieńskiego i Gawalewicza, ale najciekawsze jest to, że te poezye wypowiadali „byli artyści sceny krakowskiej“ panna Pysznik, pp. Frenkiel, Sobiesław, Rygier i Zapałowicz. Zdziwienie to i zarazem żal za opuszczającymi nas dzieliła publiczność, darząc i „byłych artystów“ i uprzejmych współdziałaczy, muzyków, taką salwą oklasków, jakiej w Krakowie dawno nie słyszano.

Dlaczego ta drużyna artystyczna naszego teatru, stanowiąca jego podstawę ustąpiła ze sceny, jest to tajemnica, której rozwiązania należy szukać tam, gdzie większość podobnych spraw się mieści—w nieporozumieniu z zarządem teatru. Sprawa to nadto prywatnej natury, abyśmy w nią wglądać chcieli, idzie nam jednak o kwestyą ogólniejszą, o przyszłość teatru krakowskiego. Ubytek kilku aktorów dla sceny naszej to jeszcze nie podkopanie jej istnienia. Ale teatr krakowski nie wielki, jak dotąd słabe ma fundamenty i coraz silniejsze traci podpory.

Repertuar osłabił się po wyjeździe pp. Stępowskiego i Podwyszyńskiego, po ustąpieniu piątki „byłych artystów“ jego egzystencya staje się utrudnioną. Pozostawiamy naszemu sprawozdawcy ocenę wystawy sztuk, ale nie możemy się powstrzymać od uwagi, że strata tych pięciu artystów nie tak łatwo da się zastąpić. Żaden z nich nie jest wstanie obalić istnienia sceny, ale solidarnie postępując, zachwiali chwilowo egzystencyą krakowskiej.

Są to siły, z któremi się liczyć trzeba.

Każdy z nich położył dla teatru tutejszego zasługę z talentu lub pracy, należy mu się więc obok pensyi pewne uznanie moralne, jedyna zapłata za wiele chwil ciężkich i ciernistych w aktorskim zawodzie. Zrozumiała to publiczność na środowym koncercie, a chcielibyśmy, aby to zrozumiała i dyrekcya teatru. Czyżby w jej gronie nie znalazł się jaki Meneniusz Agryppa? Z oklasków publiczności i serdecznego przyjęcia powaśnione strony mogły wyrozumieć, jak pragnie pokojowego załatwienia sprawy publiczność. A przecież ona jest najwyższą instancyą i dla artystów i dla dyrekcyi.....

KORESPONDENCYE „PRZEGLĄDU LITER. I ARTYST.“

Wiedeń, w Maju 1885 r.

W pierwszych dniach maja zakończyła się doroczna wystawa w wiedeńskim *Künstlerhausie*.

Wziąwszy katalog do ręki i zajrzawszy w zadrukowane karty spisu tych wszystkich arcydzieł, a wykazującego 663 numerów mimowoli nasuwało się pytanie: kto też najwięcej zyskał przy tym całym «sztucznym» interesie? czy handlarz farb, czy też płótna lub penzli? fabrykant ram, czy towarzystwo wystawowe, artysta czy Kunsthändler? Zdaje się przecież, że wszyscy zarobili i zyskali, tylko nie ten właśnie, który pracował. Bo nawet i recenzenci sztuki i ci nawet na biednym potomku Apellesa i Fidyasza zarabiają! Pomimo tego wszystkiego stanął przecież cały zastęp artystów-malarzy w szranki, tembardziej że nagrodą za najlepszy obraz, przedstawiający scenę z uwzględnieniem kompozycyi i wyrazu twarzy, był tak zwany «Reichespreis w kwocie 1500 złr.

Od jakiegoś czasu sztuka w Wiedniu schodzi powoli do mniejszych rozmiarów. Najlepszym dowodem była obecna wystawa, gdzie zebrali się po większej części tacy, który sieją na małych lub malutkich zagonach i zadawalniają się nawet najmniejszymi zbiorami. Właściciele większych posiadłości, polują znowu na medale i dekoracye, pozostając zwykle niezaprzeczonymi właścicielami swoich gruntów.

Prawdę mówiąc, tegoroczna wystawa zawiodła trochę oczekiwane nadzieje. Z wyjątkiem znanych imion: Defregera, Kaulbacha, Gabla, Schmidta, Zimmermana, znajdowało się wiele imion młodszych, wstępujących w świat, a ogół dzieł zdradzał brak uczucia, natchnienia, miłości do sztuki i pragnienia czegoś wyższego nad dobre sprzedanie. Nic, jak tylko walka o byt, gonienie za powszednim chlebem, którego nie potrzebują tylko profesorowie Akademii Sztuk Pięknych, pobierający po 4000 złr. wal. austr. i bezpłatne pracownie, ci bowiem nigdy nie okazują tego co umieją i co robią. Co za skromność!

Pardon! Prof. L'Allemand miał na wystawie portret całej figury Jego Cesarskiej Mości Franciszka Józefa w tak cynobrowych spodniach, ale to tak cynobrowych, że tylko to bezprzestanne cynobrowanie przed memi oczami sprawiło to przypomnienie!

Z polskich artystów, wystawił *Józef Brandt* dwa piękne obrazki, obok niego popisywał się *Kozakiewicz* ze «Stopnia na stopień», *Wywiórski* przypominał w innej sali, że na wystawie są dwa Brandty, *Leopolski* kazał staremu inwalidowi opowiadać w belwederskim ogrodzie ciekawe historye małym dzieciom, a *Styka* znanym w Krakowie obrazem «Chystusa rozdzielającego chleb rzeszy» dowiódł, że posiada przy wszystkich swoich zaletach wielką do podziwienia łatwość zamieniania dobrodusznych Krakowian na namiętne, semickiego pochodzenia postacie.

Z rzeźbiarzy produkował się po raz pierwszy na wystawie wiedeńskiej *Lewandowski* «*Zgonem Wajdeloty*», który tak silne wrażenie sprawił na szanownym korespondencie «*Kłosów*», że go (Wajdelotę, nie Lewan.) wziął za «Harfiarza», niewiadomego pochodzenia zapewne.

Będąc w Krakowie, słyszałem, że w Wiedniu zamieszkuje dwadzieścia tysięcy Polaków. Z ciekawością więc kronikarza chciałem chociażby jeden tysiąc zobaczyć, nacieszyć się tym miłym widokiem rodziny na obczyźnie. Przekonałem się jednak, iż mieszkający w Wiedniu, znają się doskonale z imienia, rodu, fachu; wiedzą o każdym skąd przybył, w jakich okolicznościach, znają przeszłość, teraźniejszość, przepowiadają przyszłość, nie znają się tylko niestety... osobiście.

Dwadzieścia tysięcy nie schodzi się nigdy i nigdzie. Nie żyje ze sobą wcale, nawet życiem duchowem. Dowodem niezaprzeczonym są «Wieczory Mickiewicza», urządzane corocznie przez stowarzyszenia akad. «Ognisko». Na dwadzieścia tysięcy mieszkających Polaków przychodzi zaledwie 150, może dwieście, dajmy na to trzysta osób, a gdzież reszta? Nie wiem! Zdaje mi się przecież, że reszta myśli, i z wysokości tych myśli głosi o polskości, o budowie szkoły polskiej w Wiedniu, o łączności, o miłości dla nieśmiertelnego wieszcza, o zgodzie! A na wieczorku tego wieszcza bywają corocznie jedni i ci sami, masa niemieckich gości przychodzi z ciekawości, a w dodatku bardzo i bardzo wielu mieszkańców Leopoldstadtu, podobno pochodzenia semogalicyjskiego, a przychodzących z całą familią, bo to zabawa i koncert za darmo, a do tego można bez żenady mówić *swoim* niemieckim językiem.

Wspomniałem powyżej o łączności i zgodzie. O łączności to nie wiem, ale za to wiem o «Zgodzie» paradnej, znakomitej zgodzie, która ma być stowarzyszeniem robotników, a przekształca się powoli na «Naszą Zgodę», gdzie opowiadają sobie o prywatnych interesach członków, kłócą się na zgromadzeniach aż do skutku.

Najweselszem bywało tu dawniej stowarzyszenie, zajmujące się «przytulaniem polskiem», którego członkowie kończyli zwykle jako ludzie wielcy i ludzie poświęcenia, a prezesowie, jako kandydaci do rady państwa w Pacanowie albo w Peczyniżynie, gdzie wybierani byli jednogłośnie i to jak złośliwi utrzymują własnym głosem.

I wyobraźcież sobie łaskawi czytelnicy, że kierunek tego ocierającego łzy biedactwu stowarzyszenia, powierzono teraz, komu? Oto posłowi Lewakowskiemu, temu socyaliście i demokracie, który śmie utrzymywać, że stowarzyszenie jak najgorzej było prowadzone, że działy się nieporządki etc! Temu posłowi, który zatruwa spokój Jego Excellencyi Grocholskiemu w Kole polskiem, a wreszcie oświadczył wręcz ministrowi rodakowi, że będzie znowu kandydował przy nowych wyborach.

Na miłość Boga, ludzie, dlaczego wyszukujecie ciągle takich mężów, którzy chcą jeszcze więcej dla dobra swego narodu, przecież i tak pozwalają wam pływać po nieregulowanych rzekach i nikt nie kontroluje czy macie mniej czy więcej wody w Wiśle?

Chcecie koniecznie Niemców puścić z torbami, albo gwałtem wpakować p. Dunajewskiego w długi. Na pomniki to macie aż zanadto pieniędzy, a na wodociągi i oświetlenie gazowe to was niestać.

Bodajby was spotkało trzy tysiące nagrody z jasnej jury!

Masz tobie, znowu mi się przed oczyma przesunęły jakieś dziwadła pomnikowe, jakieś nagrody! Myślałem, że tutaj w Wiedniu będę miał spokój przed tym strasznym *Nr. 6 tym*, ale gdzietam!

Właśnie doszedł mnie list p. Styki, znajdującego się w strasznie pomnikowem jak widzę położeniu!

Będąc w Wiedniu, rozmawiał z prof. Zumbuschem o *Nr. 6-tym* i opisał w liście otwartym co słyszał. I za to ulica *pańska* podniosła na biedaka krzyki, hałasy, że aż fe! aby na pańskiej ulicy taki rejwach panował.

«Kłamstwo, prywatna zawiść, zemsta, że nie dostał on. Styka nagrody etc.» zostają mu zarzucane. Na dobitek przedłożon Zumbuschowi list p. Styki, a ten wyparł się wielu rzeczy, zdań i słów, jak pisze *Czas* z podpisem prof. Zumbuscha. Ja przy tej rozmowie nie byłem, twierdzić więc nie mogę o ile list p. Styki mija się z wyrażeniami prof. Zumbuscha.

Przed p. Styką jednak rozmawiał z tym profesorem p. Lewandowski, rzeźbiarz, który pierwszy przywiózł zdanie prof. Z. do Krakowa. To co opowiadał L. nie widząc się wcale z p. Styką, zgadzało się z tem co p. S. w liście ogłosił.

Wiele jednak zdań w swoim liście napisał p. Styka takich, jakich nie słyszał od prof. Zumbuscha, ale od kolegów p. Dykasa. Całą więc winą p. Styki Jana było i jest to, że *nie rozgraniczył* całkiem wyraźnie słów słyszanych od Zumbuscha, od słów słyszanych z innych stron, mających swoje zdania o wykonawcy projektu *Nr. 6 go.*

Z mojej strony muszę uspokoić strach p. Styki, iżby się nie obawiał, bo mu nikt nic nie uczyni. Jeżeli jury bowiem naraziła komitet na wydatki 6000 złr. wybrała projekt, który wywołał całą rewolucyą *ulicy* i musiał być schowany na wypchanie, a właściwie na wstawienie pod szkło i żadnemu Jury nawet *pince nez* z nosa nie spadło — no to i p. Styce stać się absolutnie nic nie może i basta!

R. L.

KOŁO LITERACKO-ARTYSTYCZNE W KRAKOWIE.

W towarzyskiem i umysłowem życiu naszego miasta a nawet w szerszym zakroju, bo i polskiego ruchu piśmienniczego, ważnego dobiło się stanowiska krakowskie „Koło literacko-artystyczne, którego kilkoletnie istnienie, urządzane staraniem jego wydawnictwa, zjazdy i zabawy, wreszcie ciągłe interesowanie się sprawami obchodzącemi społeczeństwo sprawiły, że cieszy się ta instytucja uznaniem ogółu i poparciem członków. Przemówienie prezesa Juljusza Kossaka i sekretarza Kazimierza Bartoszewicza dokładnie przedstawiają stan instytucji.

Prezes zagaił zgromadzenie w tych słowach:

„Witając po raz piąty serdecznie Szanownych Panów na Walnem dorocznem Zgromadzeniu Koła, czynię to z tem większą przyjemnością, iż widzę ustalony byt naszej instytucji.

„Pięć lat ,to chwila niemała — w przeciągu tego czasu niejedna powstała instytucja została pogrzebaną z braku warunków do życia. „Koło" tymczasem rozwija się, idzie naprzód, ze zdaniem jego liczy się ogół, członkowie raz przystępujący rzadko się wypisują, panuje pomiędzy nimi serdeczność i zgoda, pomimo różnych dzielących ich przekonań. Gorączkowy przypływ i odpływ członków już ustał, nastąpiło spokojne rozwijanie się instytucji.

„W sprawozdaniu sekretarza znajdziecie panowie skreśloną działalność „Koła" z ubiegłego roku. Przekonacie się z niej, iż robiliśmy to wszystko, co w naszych warunkach i stosunkach zrobić było można. Dalecy od mięszania się do spraw politycznych, nigdy nie odsuwaliśmy się od działania tam, gdzie szło o dobro sztuki i literatury.

„Dlatego też, otwierając dzisiejsze Walne Zgromadzenie nie mogę się powstrzymać od wyrażenia nadziei, iż Koło tak jak dotąd i nadal będzie ogniskiem, łączącem w sobie nasze siły artystyczne i literackie, gościnnem dla przebywających czasowo zamiejscowych przedstawicieli literatury i sztuki, silnem zadzierżgniętemi węzłami towarzyskiemi między członkami, szanowanem przez prasę i społeczeństwo za pożyteczną swoją działalność. Zasługa w tem po części Wydziału, ale głównie zacnych członków, solidarnie popierających cele Koła. Im więc w imieniu Komitetu składam podziękowanie, w ich ręce składam losy naszej instytucji, od nich domagam się poparcia, pewny, że nie poskąpią go Kołu i nowo-wybranemu Wydziałowi, któremu zasyłam staropolskie; Szczęść Boże! na drodze pracy około rozwoju ukochanej przez nas wszystkich instytucji!"

Sprawozdanie sekretarza p. Kazimierza Bartoszewicza przedstawia się jak następuje:

„Składając w r. z. sprawozdanie z działalności Koła za rok 1883/4 zwróciliśmy uwagę na pocieszający objaw, jaki przedstawia unormowana, stała liczba członków. Modnem było zapisywanie się do Koła, modnem a raczej tendencyjnem wypisywanie się z grona jego członków. Moda ta ustała już w roku poprzednim i nie powtórzyła się w roku zeszłym. W ciągu tego roku przybyło nowych członków 39, ubyło 36. Pomiędzy ostatnimi liczymy 3 zmarłych, a mianowicie, senatora Hoszowskiego, M. Boloz Antoniewicza i Saturnina Świerzyńskiego. Każdy z nich okazywał wiele dobrej woli dla Koła, przyczyniał się według sił do jego rozwoju i zasłużył sobie na serdeczne wspomnienie na Walnem Zgromadzeniu „Koła". Niech im będzie lekką ziemia, którą kochali i dla której poczciwie pracowali, a pamięć o nich w naszej instytucji niech trwa na zawsze [1]).

Obrót finansowy „Koła" przedstawi Szanownym Panom Komisja kontrolująca. Przekonacie się z niego Szanowni Panowie, iż choć majątku nie robimy, ale dość silnie stoimy, a sądzę, że i stać chcemy, aby pokryć nasze wydatki, a od czasu do czasu przyczynić się pewną kwotą do poparcia celów pożytecznych.

„Dla uzyskania funduszów urządziliśmy w d. 14 Lutego bal kostiumowy w sali hotelu Saskiego. Nie przyniósł on zbyt wielkich dochodów, zaledwie 429 zlr.,—co tłumaczy się niemożnością urządzania balów jak przed laty w wielkiej sali Sukiennic i dziwną a nieuzasadnioną obojętnością względem naszej instytucji pewnych sfer towarzyskich, gwałtem upatrujących w działalności „Koła" niczem nieudowodnioną partyjność — ale w każdym razie zasilił naszą kasę, przez co zasłużył na szczególne uznanie naszego podskarbiego, a zapewne i Szanownych Panów.

„Życie towarzyskie Koła, będące głównym celem naszej instytucji, płynęło dość szerokiem korytem. Wieczorki literacko-muzykalne przybrały cechę, że się tak wyrażę, familijną, prywatną. Oprócz kilku wieczorów muzykalnych urządzonych na większą skalę staraniem pp. Adamowskiego, Bylickiego, Singera i Towiańskiego, które to wieczory wypełniło wykonanie poważnych kompozycyj najpierwszych mistrzów, mieliśmy przeciędiowo co drugi tydzień mniejsze, a bardzo miłe wieczorki środowe. Nosiły one cechę improwizacyjną, program ich układał się sam na miejscu, a wykonanie, jak wszelka improwizacja, zależało od warunków i zdolności. Jeden z takich wieczorków zaimprowizował nam nasz znakomity fortepianista Michałowski, a choć niewielka liczba członków była wówczas w „Kole", gdyż znakomity gość późnym wieczorem raczył nas odwiedzić, pomimo to głośniejszych oklasków może nie słyszano. Z równym prawie zapałem przyjęliśmy świetną grę młodego kompozytora, a również naszego gościa p. Marjana Sokołowskiego. W wieczorkach środowych w części muzykalno-wokalnej brali przeważnie udział pp. Adamowski, Bylicki, Benedyktowicz, Bukowski, Czarnowski, Henisz, Niedzielski, Ostrowski, Styka, Strażyński, Towiański. Z deklamatorów wymienię tylko pp. Rygiera i Frenkla, z których pierwszy zapalał nas wierszem „Na ruinach", a drugi choć bawi już we Lwowie, zdaje nam się być obecnym ze swojemi pełnemi humoru opowiadaniami z życia ludu. W części literackiej wieczorków brali udział pp. Żaba, Bartoszewicz, Connes, a przedewszystkiem p. Jan Grzegorzewski, który nas zaznajmiał z dziejami i obecnem życiem Słowiańszczyzny. W ogóle o wieczorkach środowych powiedzieć można, że panowała na nich podwójna harmonja: harmonja muzykalna i towarzyska, za co biorącym w nich udział — składamy serdeczne podziękowanie.

„Taż harmonja była cechą tradycjonalnych skromnych uczt Koła. Obchodziliśmy rocznicę istnienia naszej instytucji, imieniny czcigodnego prezesa, nie zapomnieliśmy połamać się opłatkiem, podzielić jajkiem święconem, nawet gęś na Ŝgo Marcina i śledź w dzień popielcowy zgromadzał członków około wspólnego biesiadnego stołu. Wina nie wiele się lało, ale serdeczność rozlewała się obficie z niewyczerpanego źródła dobrego humoru.

„Ale przejdźmy do najwybitniejszych chwil z życia Koła w roku ubiegłym.

„Na pierwszem miejscu nietylko chronologicznie, ale i co do znaczenia, postawić należy pobyt w Kole czeskich i innych słowiańskich gości podczas wycieczki Sokołów czeskich do Krakowa. Posłowie, literaci i dziennikarze pobratymczych narodów odwiedzili nas gromadnie i niezatarte po sobie zostawili wspomnienie. Do dziś dnia brzmią w uszach naszych potężne treścią i zapałem mowy Hevery, Tonnera, Harambasicza. Wzmacniali oni jedność słowiańską duchową, otwierali wrota własnych domostw dla przyjęcia pobratymczych gości, dla zapoznania

[1]) Pamięć zmarłych uczcili obecni przez powstanie. Przyp. Red.

ich ze sztuką, literaturą, życiem społecznem narodów słowiańskich. Doniosłość tych mów i tego zetknięcia się inteligencji słowiańskiej oceniły pisma czeskie, nazywając przyjęcie w „Kole“ kulminacyjnym punktem wycieczki czeskiej do Krakowa. Nie zasługa wprawdzie w tem Wydziału, nie zasługa nawet „Koła“, a tylko okoliczności, przypadkowego podniesienia się ducha i serca — ale sam fakt zostanie faktem, doniosłości jego nikt nie zaprzeczy.

„Jubileusz M. Bałuckiego opisywały szeroko nasze dzienniki. Nie powtarzając dziejów jego przebiegu, zaznaczyć jednak winniśmy, że inicjatywa do uczczenia 25-letniej pracy tego pisarza wyszła z Koła i że przyjęcie jubilata w Kole było również punktem kulminacyjnym jubileuszu, tu bowiem jubilatowi składano dary, tu znalazł się w gronie najbliższych, co serdecznie cieszyli się z tryumfu jego pracy. Poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance ze względu i na to, iż jubilat jest członkiem Wydziału, zdającego obecnie sprawę z własnej działalności.

„Z kolei wspominamy nadzwyczaj miły i sympatyczny pobyt pp. Bulewskich na wieczorku Koła. Panna Jadwiga nie szczędziła swego talentu dla uprzyjemnienia wieczoru, a skromne przyjęcie, jakie Koło młodym artystkom przygotowało, zostało przez nie nawet przecenione, czego mamy dowód w pełnym serdecznych wyrazów liście p. Jadwigi.

„Ostatnią oznaką gościnności „Koła“ było przyjęcie znakomitej artystki czeskiej p. Pospiszilówney. Wprawdzie p. Pospiszilówna, jak donoszą dzienniki, wstąpiła do niemieckiego teatru, ale to rzecz jej nie nasza; my naszą wypełniliśmy, wznosząc miodem staropolskim toast znakomitej artystki i córy pobratymczego narodu.

„Po za „Koło“ wystąpiliśmy raz tylko, ale wybitnie. Opinja „Koła“ w sprawie konkursu mickiewiczowskiego oddziałała silnie na prasę i przysporzyła „Kołu“ uznania. Najwięksi przeciwnicy nasi przyznawali opinji „Koła“ takt i spokój, jakich dobro sprawy wymagało. Mistrz Matejko poświęcił długie chwile delegatom naszego „Koła“. Prasa warszawska wyraźnie wskazywała na „Koło“, jako na instytucją, której los sprawy pomnika powinien być powierzony. Zaufanie do Koła tak wzrosło, iż wszystkie prawie protesty, wszystkie listy w tej sprawie przychodziły na ręce ustępującego Wydziału. Brandt i malarze monachijscy osobnym listem wyrazili „Kołu“ uznanie. Czachórski złożył „Kołu“ w darze swój projekt, inni artyści nadsyłali kopie swoich projektów rzeźbiarskich i architektonicznych. Każdy rzeźbiarz przybywający do Krakowa odwiedzał „Koło“, mieliśmy więc między sobą: Rygiera, Syrewicza, Kryńskiego, Barącza, Celińskiego, Błotnickiego itd. Przez te kilka dni konkursowych w lokalu naszej instytucji wrzało życie, każdy tu biegł, aby porozmawiać, naradzić się. Koło spełniło swój obowiązek, dwa razy już zabierało głos w tej sprawie, która się stała narodową i zapewne nie zawaha się wystąpić po raz trzeci i czwarty, jeżeli dobro sprawy wymagać tego będzie.

„Odczuwając radości i boleści narodowe „Koło“ przesłało telegramy na jubileusze Brandta i Zacharjasiewicza i położyło wieńce na trumnach Odyńca, Niegolewskiego, Koźmiana.....

„Za przykładem danym przez p. prezesa i podskarbiego mieliśmy wystawionych w Kole kilka obrazów, że wspomnę o „Gwieździe spadającej“ i „Smoku“ Pruszkowskiego, o „Lesie sosnowym“ Benedyktowicza itd.

W uzupełnieniu sprawozdania dodać należy, iż p. Cichocki podarował „Kołu“ portret Goszczyńskiego, dłuta Barącza, że „Wydział“ kazał oprawić nagrodzone rysunki do „Balladyny“ p. Roztworowskiego, że wreszcie podarowaliśmy Towarzystwu Przyj. Nauk Poznańskiemu biust Kochanowskiego, dłuta prof. Gadomskiego.

W liczbie dzienników nie zaszła prawie żadna zmiana. Księgozbiór powiększył się darami pp. Ossowskiego, Dra Ściborowskiego, ks. kan. Spisa, Dra Germana, Warszauera, Karola Langego, Schwaba Polabsky'ego, Dłużniewskiego, oraz pięknemi albumami artystycznemi, nabytemi przez Koło.

„Na tem kończymy sprawozdanie z czynności Koła za rok ubiegły. Pięć lat upłynęło od założenia naszej instytucji. Jest przyjętym zwyczajem, że co pięć lat stałym urzędnikom udziela się quinquenium, to jest podwyższenia pensyi. Ustępujący Wydział, którego część większa przez cały prawie przeciąg lat pięciu pracowała jak mogła i umiała, a raczej jak okoliczności dozwoliły, dla dobra „Koła“, prosi także o quinquenium w postaci nie pensji, ale poparcia naszej instytucji i słowem i czynem.“

W uzupełnieniu sprawozdania podajemy wiadomość, iż wybory żadnej zmiany w zarządzie instytucji nie sprowadziły. Prezesem został J. Kossak, wice-prezesem Asnyk, sekretarzem K. Bartoszewicz, podskarbim B. Abramowicz.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Grześ. *Historya małżeńska. Opowiedział Wołody Skiba. Warszawa 1884.*

Niewłaściwie p. Wołody Skiba nazwał swój utwór historyą małżeńską. Na podobne dzieje składa się mąż i żona, zwykle wzajemne ich sprzeczki stanowią treść opowiadania. Tutaj czynny udział w akcyi bierze tylko jedna i to brzydsza połowa — mąż. Żona ukazuje się raz jedyny w początkach opowiadania, a potem znika na zawsze. „Grześ“ zatem mógłby być zatytułowany „historją małżonka.“

Rolę bohatera odgrywa w tej powieści Grzegorz Piekarzewski, pisarz prowentowy w Żółtej, wsi leżącej w okolicach Krakowa. Dwudziestoletni młodzieniec, samouczek, nieco rozmarzony nadmierną ilością przeczytanych romansów, spogląda na świat z ufnością i sporą dozą naiwności. Korzysta z tego zręcznie dziedzic Żółtej i żeni Grzesia z pewną obywatelską córką, gwałtownie potrzebującą męża dla ukrycia owoców miłosnego stosunku z jakimś książątkiem. Po ceremonii ślubnej intryga rozdziela na zawsze młodą parę. Grześ pokochał jednak żonę, którą po raz pierwszy i ostatni w życiu zobaczył przy ołtarzu. Za jedyny cel więc swego życia postawił sobie odszukanie żony. Mijały lata, z Grzesia zrobił się pan Grzegorz, wydawca i księgarz prowincyonalny, niejedna panna ładna i posażna chciała zostać panią Grzegorzową, lecz bohater stał wiernie przy raz dobrowolnie złożonej przysiędze. I siwizna jak śnieg poczęła już przyprószać jego bujne, czarne kędziory i było mu coraz smutniej, coraz samotniej na świecie. Nakoniec uśmiechnęła się Grzesiowi nadzieja — zwodnicza niestety, bo znalazł żonę lecz..... w grobie.

Podobny pomysł obrobił Bałucki w „Białym murzynie“. Stworzył jednak z niego kwestyę społeczną, uwydatnił w nim tendencyę niezmiernie ważną, jednem słowem napisał dramat, w którym proces psychologiczny, wstrząsający do głębi duszą bohatera, jest przeprowadzony z całą siłą i prawdziwym artyzmem.

Z pod pióra Wołody Skiby wyszła humoreska. W „Grzesiu“ bowiem tło smutne zasłaniają ciągle komiczne epizody; naga rzeczywistość nigdy prawie nie przebija się na wierzch.

Objaśnić to można łatwo różnicą między talentem pierwszego a drugiego autora. Bałucki wydobywa zewsząd wszystko, co może mu posłużyć do przeprowadzenia swojej, raz wytkniętej tendencyi. Wołody Skiba zaś jest przedewszyskiem felietonistą.

Charakter bohatera z początku niewyraźny, rozwija się potem za kulisami i występuje w dalszej akcyi jako skończony wzór idealnej doskonałości. Zmiana nie jest należycie przeprowadzoną i staje się mało zrozumiałą, ponieważ nie motywują jej fakta. Zresztą o kim pisać jeszcze. Z parą ekonomów, gdzie ekonomowa „górą“ zapoznał już nas przed laty Korzeniowski. Zniemczony galicyanin, który po polsku zapomniał a po niemiecku się nie nauczył, występuje także w kilku dawniejszych powieściach p. Wołodego Skiby. Tutaj tylko inaczej się nazywa i gdzieindziej mieszka, do pracy jedynie nie czuje chęci, jak zawsze.

Typy sytuacye zręcznie zestawione i starannie opracowane w szczegółach, wywołują uśmiech na ustach czytelnika.

A. Nowicki.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Występy pn. **Pospiszilówny.** *Wznowienia. Zamknięcie sezonu. Produkcye p.* **Skalskiego. Budząca się Wenus.** *Bezowocne budzenia.*

Zjawienie się czeskiej artystki na naszej scenie, w porze, kiedy repertuar zaczyna kuleć i kiedy każde przedstawienie przypomina zbliżające się lato a z niem niechęć do uczęszczania na widowiska w teatrze zimowym, ożywiło na chwilę nadciągającą martwotę. Sześciokrotne wystąpienia panny Pospiszilówny zachęciły na czas jeszcze pewien publiczność, obudziły zainteresowanie w szerszych kołach i wypełniły salę teatralną. Na innem miejscu podajemy właściwą ocenę talentu pn. P.; zanotowano tam wybitne cechy indywidualności artystycznej czeskiego gościa; ta indywidualność przy zestawieniu z rodzajem zdolności naszych aktorów, wskazywała zasadnicze różnice w rozwoju usposobień scenicznych czeskiej artystki i znacznej części personalu naszej truppy.

Pn. Pospiszilówna ze swoją ustawiczną mimiką twarzy dziwnie odbijała od posągowo spokojnych fizyognomij naszej dziatwy Melpomeny; jedni poczytując to za ujemną stronę talentu tłumaczyli koniecznością czeskiego akcentu, inni zarzucali przeciążenie roli niepotrzebnemi szczegółami. I jeden i drugi zarzut (a oba są niesłuszne) źródło swoje mają w przyzwyczajeniu do tego, co słyszymy pięć razy tygodniowo. Stało się u nas zwyczajem niestety, że aktor skończywszy recytowanie, mniej lub więcej poprawne kwestyi, z największym spokojem w ruchach i twarzy, słucha co mu powie drugi grający. Widz, słuchając słów, rozumiejąc ich treść „dogrywa“ w duszy walkę wewnętrzną, która powinna się odbić na twarzach aktorów. Ale ponieważ najwygodniej jest w chwili pasowania się moralnego, tyłem do publiczności stanąć i w jej wyobraźni zbudzić obrazy tej walki duchowej, przeto system podobnej „swobody scenicznej“ zaaklimatyzował się doskonale i chyba na wyraźne w instrukcyi „och“, lub „ach!“ grający zmienia wyraz twarzy. „Słuchanie“, śledzenie za postępem akcyi, jej wypełnienie, to przeszkody dla mężczyzn w spokojnem zasłanianiu się rękoma, u kobiet w poprawianiu ustawicznem sukni i spoglądaniu na widownią. Mało jest aktorów w naszym teatrze, którzyby nie w ten sposób ułatwiali sobie zadanie — nie wymieniam ani tych, ani owych dla nie wstydzenia tą usterką w grze, którą mogą i powinni usunąć zdolniejsi.

Dla młodszych i mniej rutynowanych gra pn. Pospiszilównej obfitowała w szczegóły, których spożytkowanie wielką może oddać usługę w późniejszej pracy. Na pierwszym planie kładę umiejętne używanie głosu we wszystkich regestach; manjera w ruchach czyni aktora nieprzyjemnym, ze złem użyciem głosu jest on wprost nieznośny. Naturalność dykcyi, pozbycie się afektacyi, racyonalne spadki głosu, oto nad czem powinni pracować wstępujący do teatru, a co często jest zaniedbywanem i naraża słuchaczów najniemuzykalniejszych na tortury uszne.

Wznowienie pięciu sztuk (*Frou-Frou*, *Rozwiedźmy się*, *Wesele Figara*, *Romans paryski*, *Fedora*) nie wykazało w żadnym z naszych aktorów nowych przymiotów; przeciwnie — w dzisiejszym swoim stanie personel nie mógł dostarczyć sił, zdolnych do podźwignięcia wielu trudności. O niektórych wykonawcach należy powiedzieć tradycyonalnym frazesem, iż „w miarę sił i zdolności“ pracowali; to samo o reżyseryi, która dla braku czasu w sztukach, wymagających wypróbowania nie wszędzie zadawalniała. *Wesele Figara* ciągnęło się ospale, jakby na przekór tytułowi a w *Fedorze* tak ogarnęło wszystkiemi niemal wzruszenie, że zapominali słów, pozwalając suflerowi wyprzedzać się.

Tam jednak, gdzie mniej osób występowało, jak np. w *Rozwiedźmy się* ensemble był harmonijny, a gra wszystkich koncertowym tercetem.

Z zakończeniem występów pn. Pospiszilównej, zamknięto sezon naszego teatru. Pomimo wielu braków, jakie dostrzedz można było w wystawie sztuk, pobłażliwie zasłanialiśmy je, wiedząc, że personal jest szczupły, że wiele w nim sił młodych, że teatr nie może posiadać wspaniałej wystawy itp. Ale rok czasu upłynął, starsi wzmocnili swe siły, młodsi się poduczyli, a więc wymagania wzrosną.

W przyszłym sezonie spotkamy się, a zanim to nastąpi, dla zaspokojenia sumienności sprawodawczej, muszę zanotować, że produkował się u nas przed pustą prawie salą p. Skalski z monologami żydowskiemi i kupletami które zdają się być najwłaściwszem polem jego popisu. Trudno jest mieć do lwowskiego aktora pretensyą, że nas chciał zabawić tem, co przestało być zabawnem oddawna, trudno ją też mieć do francuskich autorów, że dla zadowolenia gustu bulwarowej publiczności napisali nudną i pieprzną (ale za to budzącą się) „Wenus“ ale można mieć pretensyą do tych, który podobną ramotę publikowali ze sceny Nie chcąc zajmować się rozbiorem rzeczy, której wystawienie uchybia godności teatru, wyrażamy życzenie, aby owa Wenus nie „zbudziła“ się więcej z pod pyłu bibliotecznego.

A te „budzenia“ nie wiodą się... „Wenus“ zasnęła niepowrotnie a za jej przykładem gotowe pójść wszystkie sztuki, które potrzebują oparcia na zdolnym wykonawcy, nie mając go zaś, suchotniczym krokiem wędrują do biblioteki po krótkim spacerze, z którego niezadowoloną jest publiczność, a tem mniej autor; w tym właśnie położeniu znalazł się „Mąż z grzeczności“, który w Krakowie co raz gorsze dostaje żony i tem się jedynie może pocieszyć, że w dobrem znalazł się towarzystwie pokrzywdzonych. Zamiast bowiem przedstawiać „Polowanie na męża“ należało je starannie wypróbować, a przy „Wigilii św. Andrzeja“ pamiętać, że próba powinna się odbyć w wigilią przedstawienia, a nie wobec publiczności.

Nemo.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Zdaje się, że wieczór 11 b. m. będzie już ostatnią produkcyą w tym sezonie, chociaż statut Towarzystwa wymaga i w czerwcu produkcyj dla członków, jednakże zważywszy temperaturę ostatniego wieczoru, mógłby szanowny Wydział oszczędzić tak słuchaczom jak i wykonawcom podobnej łaźni, jaka miała miejsce ostatnim razem. Główną przyczyną tak licznego zebrania się publiczności na tym wieczorze Towarz. była niezaprzeczenie panna Marya Pospiszilówna, artystka teatru narodowego w Pradze, która w nim wzięła współudział, deklamując po czesku „Wodnika“ z muzyką na fortepian Fibicha, a gdy oklaski i wywoływania nie chciały się skończyć, zmuszoną była po nader serdecznem przyjęciu jej przez publiczność, dodać jeszcze wiersz mały, lirycznej treści. Część muzykalną stanowiły utwory wyłącznie polskich kompozytorów (dlatego wieczór polski) a przeważnie chóry; było ich aż pięć i tak: naprzód trochę monotonny chór męzki Jareckiego „Pieśń o ziemi naszej“ po raz pierwszy, następnie dwa chóry żeńskie: a) Pieśń ludowa układu Noskowskiego, wykonywana już raz na jego koncercie, dla muzyków i znawców bardzo interesująca praca kontrapunktyczna; b) także pieśń ludowa małoruska „Handzia“ po raz pierwszy wykonana w udatnym układzie Niedzielskiego. Ta ostatnia musiała być na żądanie publiczności powtórzoną. Na zakończenie dwa chóry mięszane, pierwszy „Dobranoc“ Kleczyńskiego. Kompozycya bez pretensyi, dająca się nader przyjemnie słuchać, a drugi „Mazurek“ Studzińskiego Karola „Róże“ także po raz pierwszy, w którym solo altowe, bardzo poprawnie i sympatycznym głosem odśpiewała panna Wilczkiewicz. Wszystkie chóry wykonane były bardzo dobrze.

Część instrumentalną stanowiły warjacye Żeleńskiego, które już dawniej słyszeliśmy o wiele lepiej pojęte i wykonane. Tempa były chybione, a szczególniej ostatnia była tak prędko grana, że straciła zupełnie charakter przez kompozytora nadany.

P. Singer odegrał Legendę i Mazurka Wieniawskiego pomimo nader niesprzyjającej grze na skrzypcach temperaturze, bardzo ładnie i z werwą. A teraz jeszcze słówko do szanownej Publiczności czyli właściwie do szanownych członków słuchających Tow. muzycznego. W całym świecie cywilizowanym, gdzie tylko istnieją towarzystwa muzyczne, spieszy publiczność na produkcye słuchać *utworów* wykonywanych przez swoich stałych artystów. U nas zaś ma się z grą przeciwnie, nasza publiczność chce słuchać tylko artystów nowych i świeżych, nie uwzględniając tego, że w takiem mieście jak Kraków, jest to wprost niepodobieństwem, gdyż siły wykonawcze są nader szczupłe. Inna publiczność, przyzwyczaiwszy się raz do interpretacyi utworów sławnych mistrzów, przez swoich stałych artystów, upodobawszy sobie raz ich grę, spieszy tłumnie na ich produkcye usłyszeć to, czego od przyjezdnych nie usłyszy, tym sposobem wspiera instytucyą, kształci swój gust i poznaje ciągle nowe utwory. Szczególniej w minionym sezonie zauważyliśmy, że skoro na afiszu nie było współudziału jakiej obcej nieznanej tu siły, pomimo że tak program jakoteż i wykonanie onegoż przez tutejsze siły nie pozostawiały nic do życzenia lub też bardzo mało, sala była tylko do połowy zapełnioną, pomimo cen nader przystępnych. Oziębłość taka publiczności może z czasem zachwiać, a nawet do upadku przyprowadzić Tow. muzyczne, a szkoda byłaby to niczem niepowetowana i niczem nieusprawiedliwiona.

Q.

ROZMAITOŚCI.

Sztuka i literatura:

— **Modrzejewska** występuje obecnie w Londynie. Pisma angielskie konstatując powodzenie naszej artystki, donoszą, że wraca ona do kraju dopiero w Sierpniu.

— **Czytelnia akademicka**, która od dłuższego czasu nie mogła dojść do właściwego rozwoju, wskutek wewnętrznych i zewnętrznych wpływów, obecnie zdaje się wkraczać na drogę postępowania, które jej może zapewnić powodzenie. Pożądanem by było usunięcie niezgód z władzami uniwersyteckiemi i zasklepienie się w sferze działalności przeważnie naukowej i towarzyskiej, a nie błądzenie po manowcach politycznych.

— **Autorki polskie w XIX. w.** Dzieło Piotra Chmielowskiego pod powyższym tytułem opuści niebawem prasę, staraniem „Spółki nakładowej“ w Warszawie.

— **Korespondencyj Adama Mickiewicza** wyszedł tom IV. nakładem syna poety.

— **Alfred Houssaye**, znany autor francuski wydał w Paryżu niezmiernie ciekawe pamiętniki, dotyczące między innemi osobistościami literackiemi Musseta i G. Sand.

— **Wystawa Grotgerowska** urządzona została w naszem mieście; znajduje się na niej słynna „Wojna“, cesarz bowiem, którego własnością jest to arcydzieło zezwolił na włączenie do wystawy tego cyklu rysunków.

— **P. Bolesław Ładnowski** występował kilkakrotnie we Lwowie ze znacznem powodzeniem. Miejscowe „Koło lit. artyst.“ uczciło artystę składkowym bankietem.

— **Krynica**, pismo poświęcone sprawom polskich zdrojowisk zaczęło wychodzić w Krynicy pod redakcyą inż. Bolesława Babela. Wydawnictwo to może się korzystnie rozwinąć.

— **Feliks Łoyko** jako ekonomista, życiorys i treść sześćdziesięciu dziewięciu tomów jego rękopismów z dziedziny statystyki i dziejów krajowych, wydał E. Łoyko.

— **Adam Münchheimer** długoletni dyrektor orkiestry teatru wielkiego, kompozytor a ostatnio jeden z dyrektorów opery warszawskiej obchodził w b. miesiącu jubileusz swej dla muzyki pracy. Dzień obchodu uczczono stosownemi przemówieniami i wręczeniem pamiątkowych darów. Opery Münchheimera mniej są znane szerszemu ogółowi, natomiast piosnki ludowe w jego opracowaniu doczekały się wielkiej popularności.

— **Pereł humoru polskiego**, publikacyi, której dwa tomy już się ukazały, wyjdą jeszcze dwa tomy. Równie jak poprzednie podzielone będą na zeszyty. Kurjer warszawski poświęcił tej publikacji cały fejleton pióra T. J. Choińskiego.

— **Trupa Meiningeńska** produkowała się dwadzieścia razy z rzędu w Warszawie. Wiadomem jest już, że towarzystwo to zostaje pod kierunkiem ks. Jerzego, wielkiego miłośnika i znawcy sceny. Po za księciem zajmuje się kierownictwem artystycznem p. Chroneg, który doprowadził wystawę sceniczną i ensemble do doskonałości nigdzie niespotykanej. Organizacya trupy polega na zgromadzeniu talentów nie tyle wybitnych ile dających się spożytkować w całości przedstawienia. Ztąd pochodzi, że teatr Meiningeński nie szczyci się posiadaniem w swem gronie gwiazd pierwszorzędnych, lecz ludzi zdolnych, rozumiejących zadanie sztuki poważnie, gotowych do przyjęcia najmniejszej roli dla utrzymania harmonii gry. Meiningeńczycy pierwsi niezawodnie zwrócili uwagę na konieczność powierzania ról trzecio i czwarto planowych ludziom inteligentnym a nie statystom, niemniej podnieśli do pierwszorzędnego znaczenia lud na scenie. Poruszenia mas całych (*Juliusz Cezar*, *Wallenstein*) są polem popisu tej wzorowej trupy, niemniej wierność historyczna wystawy i kostiumów.

Meiningeńczycy wystąpili w Warszawie z *Juliuszem Cezarem*, *Wallensteinem* (całą trylogią), *Maryą Stuart*, *Baśnią zimową*, *Matką rodu Dobratyńskich*, *Wieczorem trzech króli i Wilhelmem Tellem*. Krytyka warszawska oddaje kierownictwu trupy pochwały a publiczność je popiera licznem zgromadzaniem się.

— **Wystawa projektów** na pomnik dla Mickiewicza urządzoną zostanie w Warszawie za staraniem p. Syrewicza. Chociaż niekompletna, przekona nieuprzedzonych, że krakowscy „anarchiści i warchoły“ mieli wiele racyi.

— **P. J. Krzesz** wystawił w salonie art. p. Biasiona nowy swój obraz „Z letargu“; tamże spotykamy nowe płótno p. Piotra Stachiewicza „Ze wspomnień przeszłości“ i pierwszą próbę malarskiego talentu p. Seredyńskiej „Pod opieką krzyża.“

— **Dwa „wieczorki dramatyczne“** p. G. Fiszera, urządzone w salach kasyna powszechnego powiodły się znakomicie. Program stanowiły znane a wyborne sceny humorystyczne i charakterystyczne. Artysta nie szczędził trudów, a licznie zgromadzona publiczność, gorących oklasków.

— **Wystawa pamiątek** po A. Lesserze urządzoną została w Warszawie.

— **Czesi o nas.** Pn. Pospiszilównie w jej podróży po naszym kraju towarzyszyli: redaktor organu teatralnego p. F. Hovorka, dobrze u nas znany publicysta i reżyser pragskiego teatru p. A. Pulda; obaj ci panowie zamierzają skorzystać z materyału jaki im się udało zebrać w drodze w ten sposób, iż ogłoszą „Wspomnienia z podróży.“ Poważną stroną tej pracy będzie traktat p. Puldy „O reżyseryi polskich teatrów“ najciekawszą, zaś osobiste wrażenia *slecznej*, która obok innych talentów, posiada też podobno dar władania piórem. Po wyjściu pracy, zapoznamy z nią naszych czytelników.

— **P. Marya Barthus** drukuje w „Gaz. Nar.“ swoją nowellę „Bukiecik konwalii.“

— **G. Brandes** na zamówienie „Kraju“ pisze studyum o W. Hugo.

— **M. Gawalewicz** przystąpił do przekładu nowego obrazu Genischen'a „Lidya“, wystawionego w Warszawie z żywem powodzeniem przez Meiningeńczyków.

Z prasy:

— **Dziennik polski** zamieścił zręczną nowellę p. Zapolskiej „Jeden dzień z życia róży“.

— **Przegląd tygodniowy** drukuje obrazek p. A. Dygasińskiego p. t. „Głód i miłość“.

— **Prawda** w odcinku powieściowym zamieszcza A. Bełcikowskiego „Ognisko domowe“.

— **Tygodnik powszechny**, spełniając przyrzeczenie, zamieścił wizerunki „autorek naszych“. Jest to już druga serya portretów, objaśniona piórem p. Waleryi Marréne.

— **Tygodnik mód** rozpoczął przekład „Dyonizy“ Dumasa; czy nie zapóźno?...

— **Wędrowiec** zamieścił rysunki projektów na pomnik dla Mickiewicza. Wykonanie ich pozostawia wiele do życzenia.

— **Gaz. polska** w Warszawie i *Gaz. Narod.* zamieściły obszerniejsze artykuły „O upadku sceny krakowskiej.“

— **Kłosy** w ostatnim numerze zamieściły udatny rysunek p. Podkowińskiego „W piwiarni“.

Zmarli:

† **WIKTOR HUGO**, najpopularniejszy z poetów francuskich XIX. w. Zmarł 22 maja b. r. w Paryżu.

† **Alfons Neuville**, uzdolniony batalista francuski zmarł 20 b. r. w Paryżu.

KONKURS.

Redakcya kalendarza humorystycznego „Ananas“, prasza nas o umieszczenie następującego zawiadomienia:

Niezwykłe powodzenie naszego kalendarza na r. 1885 zachęca nas do wydania drugiego rocznika i nakłada obowiązek szczególnego starania się o dobór artykułów:

Z tego powodu ogłaszamy trzy konkursy:

1) Autor nadesłanej do dnia 15 lipca najlepszej oryginalnej nowelli humorystycznej, zawierającej około arkusza druku, otrzyma premią w ilości 100 złr.

2) Autorzy dwóch najlepszych utworów humorystycznych rymowanych, zawierających przynajmniej po 120 wierszy druku a nadesłanych do dnia 15 lipca otrzymają dwie premie po 25 złr.

3) Za każdy przyjęty przez Redakcyą podpis pod rysunek, za każdy nadesłany dowcipny dyalog, lub nieznaną a odznaczającą się humorem anegdotę, wypłacać będzie Redakcya po 2 złr.

Oceną nadesłanych utworów zajmą się trzej uproszeni wybitni przedstawiciele literatury.

Redakcya zastrzega sobie wyłączne prawo własności na przeciąg jednego roku. Ma prawo odprzedania ich, przedruku, zrobienia osobnej odbitki itd. itd.

Rezultat konkursu ogłoszony zostanie najpóźniej w d. 10 sierpnia, poczem natychmiast nastąpi wypłata premij.

Redakcya „Ananasa“ w księgarni
K. Bartoszewicza w Krakowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Z. Ł. w Warszawie. Co do pierwszego — stanowczo nie; na drugie pytanie odpowiemy listownie.

P. M. R. w Warszawie. Jeszcze nie.

P. Zofii, we Lwowie. Do zwrotu.

Autorzy i wydawcy, pragnący wzmianki o swoich pracach i nakładach w „Przeglądzie lit. art.“ zechcą takowe nadsyłać pod adresem redakcyi:
Ulica Sławkowska, hotel Saski.